BANHOF

JEDNOAKTÓWKI PO ŚLĄSKU

BANHOF

JEDNOAKTÓWKI PO ŚLĄSKU

BANHOF

JEDNOAKTÓWKI PO ŚLĄSKU

WYDAWCY

iMAGO PUBLIC RELATIONS

Instytucja Kultury KATOWICE Miasto Ogrodów

PARTNER KONKURSU

REGIONALNY OŚRODEK KULTURY W KATOWICACH

PATRONAT MEDIALNY

gazeta WYBORCZA.PL

Redakcja:
Waldemar Szymczyk

Projekt graficzny okładki:
Katarzyna Kępa

Typografia i DTP:
Wojciech Grzegorzyca

Realizacja:
Stapis Katowice

Korekta:
Grażyna Kwiek
Uwaga:
w pisowni staraliśmy się zachować język i styl autorów

ISBN: **978-83-63304-92-8**

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Copyright by Imago Public Relations oraz Instytucja Kultury Katowice – Miasto Ogrodów
Katowice 2015

SPIS TREŚCI

NASZ MAŁY JUBILEUSZ 6
Ingmar Villqist

O ŚLĄSKU PO ŚLĄSKU 7
Waldemar Szymczyk

LUSTRO DWORCA 9
Piotr Zaczkowski

BANHOF 11
Krystian Gałuszka

SZWIEC 21
Wojciech Szwiec

SZCZIGA, CZYLI HORROR PO ŚLONSKU 31
Marcin Szewczyk

W SAME POŁEDNIE 43
Marcin Melon

JADYMY, DZIOŁSZKO, JADYMY… 55
Danuta Orenowicz

SILE3ЦЫ 64
Maciej Sojka

SZTAMA 76
Grzegorz Sztoler

TABULE Z KATOWIC 85
Krystian Węgrzynek

MECZ 102
Michał Wiejak

WILIJO 121
Anna Wojtkowska-Witala

NASZ MAŁY JUBILEUSZ

Ingmar Villqist

No i proszę – mamy nasz mały jubileusz; pięć lat temu rozpoczęliśmy projekt – konkurs na napisanie jednoaktówki po śląsku. Kiedy pierwszy raz rozmawialiśmy z Waldkiem Szymczykiem o tym zamyśle, czuliśmy, że to dobry czas na próbę upublicznienia dyskusji o dawnym i dzisiejszym Śląsku zaczynającej się wtedy dynamizować w lokalnych mediach, sieci, ale jeszcze przede wszystkim w prywatnych rozmowach pomiędzy tymi, dla których budząca się Śląska Wiosna stawała się czymś bardzo ważnym. Niewielu wtedy wierzyło, że nasz pomysł ma sens. Kto będzie pisać takie jednoaktówki, i to w dodatku po śląsku? Kilka osób? A nawet jak powstaną, to czy ktoś je wystawi na scenie, wydrukuje? Poza wszystkim nasza inicjatywa odbierana była wtedy jako taka niepoprawna.

Zapewne i my mieliśmy wiele wątpliwości. A co będzie, jak nikt nie napisze? Czekaliśmy na efekt pierwszego konkursu z drżeniem serca; termin zakończenia nadsyłania prac się zbliżał, a my mieliśmy w rękach ledwie dwie czy trzy nadesłane jednoaktówki. Nerwowo opracowywaliśmy z Waldkiem plan B, C, D i tak aż do Z. Niepotrzebnie, jak się okazało, bo tuż przed zamknięciem konkursu sypnęło jednoaktówkami, i to jakimi! To była dla nas ważna chwila; potem z każdą edycją konkursu powstały ciekawe, świetnie napisane teksty na kameralne sceny, pojawili się ważni autorzy, rychło samodzielnie już funkcjonujący, wydawaliśmy co rok antologie nagrodzonych tekstów, nagrywaliśmy na ich podstawie słuchowiska, jeździliśmy, dumni jak pawie, na premiery „naszych" jednoaktówek po śląsku do teatrów amatorskich i profesjonalnych, zatrzymywaliśmy się przed witrynami księgarń, odczytując nazwiska naszych autorów z okładek książek, które stawały się hitami wydawniczymi już nie tylko na Śląsku. Przez te pół dekady bardzo zmienił się nasz Śląsk; ta, jako to nazywam sam dla siebie, transformacja tożsamościowa odzwierciedla przede wszystkim, tak silnie widoczną w nadsyłanych na nasz konkurs jednoaktówkach, powolną, ale jednak zmianę naszej śląskiej mentalności – być może to zdanie na wyrost, ale chyba czujemy się wreszcie naprawdę u siebie i poczuliśmy co to niezależność myślenia o Śląsku przede wszystkim w naszych sercach, a potem głowach – bo taka kolejność jest właściwa dla definiowania stanu emocjonalnego zwanego miłością, miłością do naszego Śląska. O niej to piszą w swych jednoaktówkach nasi autorzy, w najróżniejszy sposób, ale jak pięknie i prawdziwie. Tekst dramaturgiczny pisze się po to, by zaistniał na scenie – to oczywiste, jednak wpierw musi zagościć w sercach czytelników, aktorów, a jeśli translacja na scenę się uda reżyserowi – to także w sercach publiczności. I tego życzymy uczestnikom konkursu na jednoaktówki po śląsku w tej jubileuszowej i wszystkich kolejnych edycjach.

O ŚLĄSKU PO ŚLĄSKU

Waldemar Szymczyk

Z roku na rok jury konkursu na jednoaktówkę po śląsku ma coraz trudniejsze zadanie. Bo niełatwo podjąć decyzję, kogo nagrodzić, kogo wyróżnić. Przez pięć lat trwania konkursu amatorzy stali się zawodowcami. Jednoaktówki, które do nas napływają, mają coraz bardziej urozmaiconą tematykę. Na początku były to opowieści o śląskiej przeszłości i o tym, co nam doskwiera współcześnie. W ostatniej edycji były już kryminały, komedie, a nawet science fiction. Jak więc porównywać dramatyczne opowieści z czasów wojny z zabawnymi kryminałami?

Tę profesjonalizację widać także na przykładzie dalszych losów jednoaktówek. „Rajcula warzy" Aliny Moś-Kerger, wyróżniona w 2013 roku, doczekała się realizacji scenicznej na deskach Teatru Śląskiego. Joanna Wawrzyńska za rolę rajculi została laureatką 43. Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Jednego Aktora we Wrocławiu. Z kolei Andrzej Lis, członek Komisji Artystycznej 21. Ogólnopolskiego Konkursu na Wystawienie Sztuki Współczesnej, napisał o tej sztuce: „Prościutka historia o gotowaniu i towarzyszącym gotowaniu opowieściom staje się w gruncie rzeczy monologiem o szukaniu własnej drogi, w której ani warzenie, ani rajcowanie nie muszą być najważniejsze".

Na stworzenie spektaklu składającego się z wybranych tekstów konkursowych zdecydował się reżyser Marcin Gaweł. Jego teatralne przedstawienie? performance? happening? koncert? „Frelki" opowiada o kobietach. „Siedzą w M2 na wersalkach, patrzą przez okna, podlewając paprotki. Codzienne rytuały, zwykłe obrzędy; małe tęsknoty, wielkie nadzieje. Chyba że odwrotnie... Kobiety, dziewczyny, laski, dziołchy, frelki..." – czytamy w opisie spektaklu.

Ale co nas szczególnie cieszy – wiele jednoaktówek zdecydowały się wystawić teatry amatorskie i półprofesjonalne: z Bierunia, Tychów, Chorzowa i kilku innych miast oraz grupy teatralne działające przy szkołach. Dokładnie o to nam chodziło w tym przedsięwzięciu – chcieliśmy pokazać, że po śląsku można opowiadać ciekawe historie nie tylko podczas biesiad, ale także na deskach teatru. Skoro nie było dotąd materiału dramatycznego nadającego się na spektakl, sami chcieliśmy go zdobyć właśnie poprzez zachęcenie ludzi do pisania jednoaktówek po śląsku.

Inną drogą poszedł Marcin Melon, autor jednoaktówki o Komisorzu Hanusiku. Na jej podstawie napisał powieść kryminalną. Okazała się tak dużym sukcesem wydawniczym, że konieczny był dwukrotny dodruk nakładu. Autor zdecydował się więc napisać drugi tom powieści, i znowu spotkała się ona z doskonałym przyjęciem. Na szczęście nadal pisze też jednoaktówki i bierze udział w naszym konkursie. W tym zbiorze prac wyróżnionych w zeszłorocznej edycji publikujemy jego „W same połednie", gdzie również pojawia się Komisorz Hanusik.

Dla porządku przypominamy wszystkich nagrodzonych w 2014 roku.

NAGRODY SPECJALNE Z OKAZJI 150-LECIA KATOWIC:

Krystian Gałuszka *Banhof*
Krystian Węgrzynek *Tabule z Katowic*

WYRÓŻNIENIA:

Marcin Melon *W same połednie*
Danuta Orenowicz *Jadymy, dziołszko, jadymy…*
Maciej Sojka *Silezцы*
Grzegorz Sztoler *Sztama*
Krystian Węgrzynek *Tabule z Katowic*
Michał Wiejak *Mecz*
Anna Wojtkowska-Witala *Wilijo*

III MIEJSCE: Marcin Szewczyk *Szcziga, czyli horror po ślonsku*
II MIEJSCE: Wojciech Szwiec *Szwiec*
I MIEJSCE: Krystian Gałuszka *Banhof*

Wszystkie wymienione prace znajdziecie Państwo w niniejszej książce.
Ciekawej lektury!

LUSTRO DWORCA

Piotr Zaczkowski

W jednoaktówce Krystiana Gałuszki „Banhof" ani przez chwilę nie opuszczamy tytułowego dworca. Przez trzy odsłony to dawny, „stary banhof", w czwartej – nowy, współczesny. Pociągi zatrzymują się w Kattowitz, w Katowicach, w Stalinogrodzie i ponownie, oby po wsze czasy, w Katowicach.

Jednoaktówka ma dwóch bohaterów – „modego synka" i „kolejorza". Bohaterów wyrazistych i ciągle tych samych, bo raz jeden precyzyjnie określonych w ekspozycji dramaturgicznej historii, ale w każdej odsłonie innych, odmiennych, jak odmienia się historia przez ludzi i ludzkie wspólnoty. Dwie osobowości, dwie role spotykają się nie tylko w umownym tutaj i dzisiaj, ale we wnętrzu tego, co wszędzie i zawsze. Spotykają się tyle na peronie dworca, ile na granicy miasta – znanego i jeszcze nieznanego, przeżytego i zapraszającego do przeżywania, rozpoznanego i dopiero do odgadnięcia. Spotykają się, gdyż tak chciały ich osobiste losy. Spotykają się, gdyż tak chciał los zbiorowy.

Zmieniają się języki urzędowe, a nawet imiona miasta, ale zawsze jakiś młody chłopak wysiądzie z pociągu. Przyjedzie do schule albo do szkoły. Przyjedzie zapisać się, skierowano go z zakładu pracy, będzie zdawał egzamin. Kolejarz wytłumaczy, którędy ma pójść, jakimi ulicami, w jakim przystając kościele. Konwencjonalne są nie tylko role, ale i kwestie dialogu, schematycznego jak podczas lekcji (chwilami dosłownie) obcego języka, zbudowanego z prostych pytań i odpowiedzi, podpowiedzi, jak znaleźć drogę do celu.

Jednoaktówka Gałuszki jest o tym i o czymś więcej. Wysiadamy na stacji końcowej lub na stacji początku, zgodnie z rozkładem jazdy pociągów, zgodnie z rozkładem czasu. Opuszczamy Morgenroth, aby wejść w Kattowitz, przyjeżdżamy z Rudy Śląskiej, aby wejść w Katowice. Niesiemy bagaże, wspomnienia, trochę niepewności i marzeń. Zawsze w jakimś dzisiaj, które za chwilę będzie wczorajsze, minione, przeszłe i nigdy do końca umarłe. Być może miasto gubi się w nas i odnajduje ciągle na nowo. Wzniesiono prawdziwe domy, chodzimy po ulicach, które są ulicami, ale tak naprawdę miasto dzieje się w naszej wyobraźni. Być może Katowice nie są miniaturą teatru, ale kroniką albo powieścią, przez której stronice, napisane w różnych językach, przechodzą ludzie. Czas im się przygląda.

JEDNOAKTÓWKI

BANHOF

Krystian Gałuszka

1. CZAS

PIYRWSZO BINA:	Rzesza Niymiecko (przed 1922 r.)
DRUGO BINA:	Rzeczpospolito Polsko Autonomiczne Województwo Ślonske (1922–1939)
TRZECIO BINA:	Polsko Rzeczpospolito Ludowo (1953 r.)
SZWORTO BINA:	Rzeczpospolito Polsko (tera)

2. MIEJSCE

PIYRWSZO BINA:	peron na starym banhofie w Katowicach, kontekst: Kattowitz – Morgenroth
DRUGO BINA:	peron na starym banhofie w Katowicach, kontekst: Katowice – Godula – Chebzie
TRZECIO BINA:	peron na starym banhofie w Katowicach, kontekst: Stalinogród – Nowy Bytom-Chebzie
SZWORTO BINA:	peron na blank nowym banhofie w Katowicach, kontekst: Katowice – Ruda Ślonsko – Chebzie

3. PERSONY:

KOLEJORZ
MODY SYNEK
DUCH BANHOFA I
DUCH BANHOFA II

PIYRWSZO BINA

Peron. Tabula z mianym KATTOWITZ. Z zadku widać uokna starego banhofa.

MODY SYNEK *(ze skulonom gowom)*:

Guten Tag Herr Ober.

KOLEJORZ *(po urzyndowymu, ale trocha po uojcowskiymu):*

Guten Tag meine Junge. Was machst du denn hier?

MODY SYNEK *(blank poleku):*

Ich heiße, eee... Ernst Müler. Ich komme aus Morgenroth.

KOLEJORZ:

Und!...

MODY SYNEK *(jeszcze bardzi poleku):*

No i jo przijechoł. Przijechoł żech tukej. Na nauka. Ino niy wiym kaj iść, coby tam trefić.

KOLEJORZ:

Was?

MODY SYNEK *(panika w uoczach):*

No i jo przijechoł...

KOLEJORZ:

Ach ja. Ich verstehe.

(piskanie bumelcugu rwie godka – po koncku ciszy i przyglondaniu sie synkowi)

Och Ynctuś. Kejbyś ty niy był synek uod Cili Kuczery z Kaufhausu, to by my tu godali całkiym inaczy. To ty pukloku jedyn niy wiysz, że do urzyndnika godo sie ino po niymiecku, a do urzyndnika na banhofie blank po niymiecku? Kejbyś trefioł na szychta Miro Soboty, a musisz wiedzieć, że to Prusok pełnom gymbom, to byś sie dopiyro dowiedzioł. Co tu godać, som kajzer przi nim je jak kura przi adlerze. O kurde, chyba za dużo godom. Pamiyntej ptoku jedyn jak mo być. Verstehst du?

MODY SYNEK:

Ja, natürlich. Ino niy wiym skond wiycie, że moja mutra je z doma Kuczera.

KOLEJORZ:

Lepi sie niy pytej. Kaj to kcesz iść w końcu?

MODY SYNEK:

Do Baugewerkschule. Oma godo, że to dobro szula.

KOLEJORZ:

Gut? Die beste. Die Weg ist leicht. Jak wyleziesz z banhofa, pódziesz w prawo i potym Holtzestraße. Niy bydziesz włazioł do żodnych restauracyji ani podziwoł sie za frelami, co tam łażom, ino pódziesz prosto do kościoła, kery stoi na końcu drogi. Tam porzykosz i przeprosisz Ponboczka za to, coś myśloł po drodze. Za Mariackim skryncisz w prawo. Przeleziesz przez tory. W lewo jest Eichendorffstraße, ale ty idziesz w prawo na Holteistraße. I zaroz na poczontku bydziesz mioł Baugewerkschule. Verstehst du?

MODY SYNEK:

Ja, genau.

KOLEJORZ:

I powiydz mutrze, że mo pozdrowiynia uod Nowoka. Uona już bydzie wiedziała uod kogo.

MODY SYNEK:

Ja, danke. Auf Wiedersehen!

KOLEJORZ *(na boku):*

So wahr Gott lebt! Tyn pieron taki podobny do mie, że aż strach.

DUCH BANHOFA I:

Jerona, kaj my som?

DUCH BANHOFA II:

Jak to kaj? Tukej.

(hamowanie sznelcuga z Gleiwitz)

DRUGO BINA

Peron. Tabula z mianym KATOWICE. Z zadku widać uokna starego banhofa.

MODY SYNEK *(ze spuszczonom gowom):*

Guten Tag Herr Ober.

KOLEJORZ *(zeszterowany):*

Słucham?!

MODY SYNEK:

Dziyń dobry Herr Ober.

KOLEJORZ:

Dzień dobry! Słucham!

MODY SYNEK *(blank pomału):*

Nazywom sie, eee Ynct Müler. Przijechoł żech aus Morgen... e... tego, z Paulusa, z Chebzia, no z Goduli.

KOLEJORZ *(trocha nerwyjs):*

Taak!...

MODY SYNEK:

Und Ich komme. Ich komme aus Godullahütte hier. Zur schule. Ino niy wiym kaj iść, Kattowitz zu gross.

KOLEJORZ *(czerwony po gymbie):*

Że co?!

MODY SYNEK *(panika w uoczach):*

Und Ich komme hier...

KOLEJORZ *(robi wielke uoczy):*

Cicho! Ani słowa!

(bumelcug rwie godka – po koncku ciszy i przyglondaniu sie synkowi)

Och Ernest. Jakbyś ty niy był synkiem uod Ecika, co my razem po hołdzie w Lipinach z gywerami lotali, to by my tu godali całkiym inaczy. To ty pukloku jedyn niy wiysz, że do polskiego kolejorza godo sie ino po polsku, a szczególnie tu, na banhofie w Katowicach? Jakbyś trefił na zmiana Alberta Soboty, a musisz wiedzieć, że to Polok pełnom gymbom, to byś sie dopiyro dowiedzioł. Przi nim Adalbert Korfanty, to znaczy Wojciech Korfanty, to szkop. Rozumisz co jo do ciebie godom?

MODY SYNEK:

Ja, natürlich.

KOLEJORZ *(wyglondo choby sie mioł udłowić):*

!!!...

MODY SYNEK:

No naturalnie, ino uojciec godoł, że w Lipinach uon groł w fusbal w Naprzodzie, a uo lotaniu z giwerami nic niy wiym.

KOLEJORZ:

Bo ty, karlus, mało wiysz. Jak godom, że my byli powstańce, to my byli powstańce i szlus. Ale nic to. Kaj to kcesz iść w końcu?

MODY SYNEK:

Do Ślonskiego Instytutu Rzymieślniczo-Przemysłowego. Opa godo, że je to richtig dobro szkoła.

KOLEJORZ:

Jaki opa, lebrze? Dziadek sie godo, dziadek. A szkoła niy je dobro, ino najlepszo. Mógłbyś iść Mariackom, ale lepi jak pódziesz Wojewódzkom – z dworca na lewo i pod torami. Na Mariacko to jo po robocie póda. Ty zaś tom Wojewódzkom pódziesz tak dugo, aż po prawy stronie bydzie taki gryfny neogotycki gmach, wyglondo jak zamek. To jest Konserwatorium Muzyczne. Miniesz je i już bydziesz na ulicy Krasińskiego. Tam zaroz po lewy stronie stoi najnowszo i najwiynkszo szkoła w Katowicach. Już wiysz jak tam trefić?

MODY SYNEK:

No.

KOLEJORZ:

Jak bydziesz w doma, powiydz twojymu fatrowi, że mo pozdrowiynia uod Nowoka z Lipin. Uon już bydzie wiedział uo co chodzi.

MODY SYNEK:

Dziynkuja, do widzenia.

KOLEJORZ *(na boku):*

Jak Boga kochom. Tyn pieron taki podobny do Ecika, żech już chcioł sie z nim ugodać po fajrancie do Monopolu. Jakby tyn śpik smarkaty wiedzioł uo wszystkim, co my kombinowali w Lipinach, to wyszłoby na to, że Kutz za sztyrdziści lot musiołby kryncić całkiym inne filmy.

DUCH BANHOFA I:

Jerona, kaj my som?

DUCH BANHOFA II:

Jak to kaj? Tukej.

(hamowanie sznelcuga z Glywic)

TRZECIO BINA

Peron. Tabula z mianym STALINOGRÓD. Z zadku widać uokna starego banhofa.

MODY SYNEK *(z uoczami wbitymi w ziymia):*

Dziyń dobry panu.

KOLEJORZ *(wyszpanowany):*

Słucham?!

MODY SYNEK:

Dziyń dobry.

KOLEJORZ:

No! Słucham towarzysza!

MODY SYNEK *(richtig blank pomału):*

Nazywom sie, eee... Ernest Młynarczyk. Przijechoł żech z Chebzia w Nowym Bytomiu.

KOLEJORZ *(zeszterowany):*

Taak!...

MODY SYNEK:

No i jo przijechoł. Przijechoł żech tukej. Na nauka. Ino niy wiym kaj iść, coby trefić.

KOLEJORZ *(ryczy):*

Że co?!

MODY SYNEK *(panika w uoczach):*

Niy znom dobrze Katowic i niy wiym kaj iść.

KOLEJORZ:

Ach tak, rozumiem. Młody towarzysz przyjechał specjalnie po naukę do Katowic.

MODY SYNEK:

Ja, richtig. Chciołżech pedzieć, że ja. Że tak.

KOLEJORZ:

To towarzysz wyszedł na złej stacji, ponieważ to nie są Katowice.

MODY SYNEK *(skołowany rozglondo sie po banhofie):*

O kurde! To wiela jeszcze stacji musza jechać do Katowic?

KOLEJORZ *(na banhofie cicho jak na toutynhali):*

Suchej no, mody, ty mie nie robisz czasym za idiot, co? Dej no ino mi twoje papiyry.

MODY SYNEK *(znerwowany dowo papiyry):*

Ale kaj tam. Towarzyszu.

KOLEJORZ:

Słuchej no, Ernest. Czy ty aby nie robisz w hucie na Fryncicie i nie chodzisz z mojom cerom?

MODY SYNEK:

W Hucie Pokój robia.

KOLEJORZ:

Helena Nowak. Brunetka, krótkie włosy.

MODY SYNEK:

Ale, no. Eeee... tego, witom szanownego pana, towarzysza Nowoka.

KOLEJORZ:

Suchej no, mody, ty mie już całkiem ładujesz w macia, co?

MODY SYNEK:

Niy, niy!

KOLEJORZ:

Jerona, kaj ta moja cera mo rozum. Brać sie za chopa idioty. Choć z drugi strony gupi chop to jest jakiś pomysł. Niy wiysz, durniu jedyn, że Katowic już niy ma?

MODY SYNEK *(richtig zdziwiony):*

Ukraadli Katowiiice?!

KOLEJORZ:

No tyż tak idzie pedzieć. Teraz to już niy som Katowice, ino Stalinogród. Mosz szczyńście, żeś trefiył na mie, a niy na szychta Dymitra Soboty, bo na drugi tydziyń w niydziela niy przziszołbyś do nos na uobiod, ino jechołbyś sie cugiym z szyrokimi torami. Rozumisz co jo do ciebie godom?

MODY SYNEK:

No. Mniwiyncy.

KOLEJORZ:

Lepi cobyś pokapowoł cyntlich, a niy „mniwiyncy". Kaj to kcesz iść w końcu?

MODY SYNEK:

Do Ślonskich Zakładow Naukowych. W hucie kozali mi tam iść na egzminy.

KOLEJORZ:

Kozali godosz. No dobra. Mogesz iś ulicom 27 Stycznia, bo to chyba bliżi, ale lepi jak pódziesz Mariackom – z dworca na prawo. Piyrwszy dom uod kościoła po prawy stronie, zresztom adres znosz. Wleziesz tam i powiysz moji, żech kozoł ci dać moj czerwony binder. Zaroz go uobleczesz. Uoddosz mi go na obiedzie w niydziela. Potym idź do kościoła porzykać. Niy wiadomo jak dugo kościoł bydzie uotwarty. Za kościołem skryncisz w prawo pod most. Na skrzyżowaniu po prawej stronie stoi Państwowo Wyższo Szkoła Muzyczno, ale ty pódziesz w lewo i tam zaraz jest ta twoja szkoła. Rozumisz?

MODY SYNEK:

Co by niy miołch spokopić.

KOLEJORZ:

Ino na egzaminie niy godej, żeś poszoł najpiyrw porzykać. I w ogóle godej jak najmni.

MODY SYNEK:

Dziynkuja wom, do widzenia.

KOLEJORZ *(na boku):*

Jak Boga kocham. Ale gupi. Z cerom to jo sie dzisioj pogodom.

DUCH BANHOFA I:

Jerona, kaj my som?

DUCH BANHOFA II:

Jak to kaj? Tukej.

(hamowanie sznelcuga z Glywic)

SZWORTO BINA

Peron. Tabula z mianym KATOWICE. Z zadku widać uokna Galerii.

MODY SYNEK:

Dzień dobry panu.

KOLEJORZ:

Dzień dobry młodzieńcze, czym mogę służyć?

MODY SYNEK:

Czy do trzech godzin będzie jakiś pociąg do Rudy Śląskiej?

KOLEJORZ:

Do Rudy nie lepiej tramwajem?

MODY SYNEK:

Nie, mieszkam w Chebziu w Rudzie Śląskiej i do Katowic najszybciej jest mi pociągiem.

KOLEJORZ:

Pociągi w kierunku Gliwic jeżdżą co pół godziny.

MODY SYNEK:

Dziękuję bardzo. Nie wie pan czasem keryndy najszybciej dojdę na Akademię Muzyczną?

KOLEJORZ:

No patrzcie, moje roztomajte ludkowie. Sztudynt co mo gańba godać.

MODY SYNEK:

Jeszcze nie sztudynt. Dopiyro ida na przesuchanie i bestoż trynuja po polsku.

KOLEJORZ:

Godosz na przesuchanie na Akadymio. To bydziesz tom groł, czy godoł?

MODY SYNEK:

Bardzi śpiywoł.

KOLEJORZ:

Byle niy ciynko.

MODY SYNEK:

Chyba jednak ciynko.

KOLEJORZ:

To zamiast na egzaminy niy lepi do roboty?

MODY SYNEK:

Na pewno lepi, ale uojciec kcom, to ida. Jakbych mioł tako robota jak wy, to bych mu może wyeklerowoł, bo przeca uon je z Chebzia.

KOLEJORZ:

Suchej uojca synek. Niy wszysko je jak wyglondo. Jo tyż niy mom roboty.

MODY SYNEK:

Przeca som żeście kolejorzym.

KOLEJORZ:

Ale kaj tam. Idzie pedzieć, żech je kloszard. Trocha miyszkom na dworcu, a trocha w Galerii. Tyn mundur to pic. Dostoł żech go uod jednego emeryta. Jak goniom bezdomnych, to mie nie ruszajom. A zresztom, tu majom taki burdel, że nawet PKP nie wiy, żech nie je kolejorz. To je gryfno sytuacjo. Na banhofie mom pokoj, a na Galerii łaża jak pon. Mynty złażom mi z drogi, bo myślom, żech z koleji, a poza tym właża kaj kca. Nawet na stary banhof. Niy kca sie asić, ale roz udało mi sie nawet wziońć geltag jako kolejorz.

MODY SYNEK:

Niymożliwe.

KOLEJORZ:

Myjglich, myjglich. Niy ino geltag żech zabroł. Dwa roki nazod zostoł żech nawet wyrożniony w gazecie jako „Śląski Kolejarz Roku".

MODY SYNEK:

Ale kaj tam!

KOLEJORZ:

Widzisz, karlus, ty to jeszcze dużo musisz sie uczyć, a niy wiym, czy ci ta Akadymio pomoże. Powiem ci w zaufaniu, że ćwierć starego dworca je pusto. W jednym miejscu zrobioł żech sie nawet mało ajncla, o kery żodyn niy wiy.

MODY SYNEK:

Uo pierona!

KOLEJORZ:

A widzisz mody. Ale niy ino na banhofie i w Galerii idzie sie zamelinować. Na uczelni tyż sie do. Mogesz mieć choby w niebie. Take frelki za sztudyntym uod muzyki lecom jak moty. Co prowda niy take gryfne jak za mundurym, ale zawsze.

MODY SYNEK:

Eee, no dobra. To keryndy najbliżi na Akadymio?

KOLEJORZ:

Rob jak kcesz. Na ta twoja Akadymio idź peronem do końca i torami na stary banhof. Tam zlyź na cesta. Wojewodzkom trefisz genau na Akadymio Muzyczno.

MODY SYNEK:

Dziynkuja wom, ale musza już lecieć.

KOLEJORZ:

Jak bydziesz na dworcu czekoł na cug do Chebzia, to poszukej mie, pogodomy jeszcze. Jak mie niy bydzie, pytej o Ecika Soboty.

MODY SYNEK *(na boku):*

Ale dziwok, niy ma co. A z drugi strony, jak sie niy udo na egzaminie, to może nie je gupi pomys przeblyc sie za sztudynta. W Katowicach dużo tera uczelni, a jeszcze wiyncy sztudyntek.

DUCH BANHOFA I:

Jerona, kaj my som?

DUCH BANHOFA II:

Jak to kaj? Tukej.

(hamowanie sznelcuga z Glywic)

SZWIEC

Wojciech Szwiec

Słowo z miejscem są jednym.
Gdyby się zdarzyło, że zabrakłoby słowa
Miejsca by nie było
ANGELUS SILESIUS

Na scynie od początku do końca nima za wiela klamorów.
Może być stół, jako ryczka, abo stołek, kaj postacie mogom se na chwila siednąć,
jak nimajom nic do godki.
Cima dookoła, w jedynym oświetlonym miejscu stoi zadkiem łobrócony jakiś
chop i klupie przy warsztacie młotkiem. Za bardzo nie widać, co łon tam klupie.

SZWIEC:

Możno wos ciekawi, co jo tu tak klupia? Psinco wos to powinno interesować. Nie musicie sie do wszyskigo rożać, wszyndy kichol tkać. Klupia, co sie klupia, roz za kiedy sie wypola młotkiem bez kolano i styknie. Niekiedy jak łoroz przestana klupać, to słysza roztomajto godka, tu sam – wele gowy. Coś mi szumi, cosik trzeszczy, coś godo do ucha.

(pauza)

Fajnie – tak se myśla… bardzo, bardzo fajnie! Chyba zaczyno mi walić do dekla, jak moimu ujkowi. U nos to musi być we familii. Ujek Paulek to był straszny malas. Nie myślcie se, że był taki łod bajtla. Niy, był taki yno łod kiedy mu tako brecha cienko – tako lajsta prawie – na łeb sleciała. Na grubie to było. I jak ta brecha sleciała, to wylecioł spod inszyj bergi jakisik dupny szczur. Chop sie tak wylonkoł, że sie z niego zrobił pieroński ślimok. Wszyskigo sie boł, łaził taki wylonkany. No tak po prowdzie, to na jego miejscu tyż na dół już bych nie sjechoł.

(pauza)

Beztuż jestech szwiec.

Scyna zaczyno sie łobracać i pomału widać we świetle szwieca, kiery trzymie młotek w jednyj rynce, a stary szczewik w drugij. Za chwila snop światła ukazuje stojące za szwiecem dwie postacie – to jest dwóch jednako

łobleczonych chopów w kosmicznych skafandrach. Szwiec stoi i patrzy na publiczność. Tajemnicze chopy śpiewają i godajom swoje kwestie unisono.

SKAFANDRYCI:

Klup, klup, to je łon, to je łon, klup, klup. Chop, kiery klupie, klup, klup. Szczewiki i halbki, kromfleki i abzace. Klup, klup, aż po grób…

SZWIEC:

Godka, godka, yno w gowie ta gupio godka. Jasne, że klupia, tako mom robota wy zesmolone ciaproki, czasem tyż kleja, jak sie kromflek od szczewika urwie. Szwiec łod tego je, coby reperować wasze śmierdzące szwajom harboły. To je mało społeczność, tu sie kożdy musi drugimu poświyncić. Przy robocie kożdy sie zmaże. Doktór musi woniać i macać walcmanów zesranych. Na grubie w cimoku, w pyle musisz z mokrymi nogawicami ciś na przodek, na hucie zaś hyc je taki, że sie na puklu koszula poli. Do rzici z takom robotom… No może gwioździorz mo trocha lepij, bo sie nie zmaże, yno kosmos łoglądo, ale łod tego tyż idzie zgupnąć…

SKAFANDRYCI:

Szwiecuuuu, szwiecuu, szwiecuuu, opowiadej…

SZWIEC:

Ale co mom tu dużo godać?…

SKAFANDRYCI:

Noo! Noo opowiadej!

SZWIEC:

U mie wszystko je jak downij, żona siedzi w doma, jak kożdo śląsko kobieta, jak jij sie mierznie, to sztrykuje…

SKAFANDRYCI:

Babaaaa, babaaa.

SZWIEC:

Kobieta – to je nowoczesne sformułowanie. Określo to samo co baba, yno lepij sie tego słucho… No godom dalij. Witom wos i wasze gorolskie głosy na Górnym Śląsku – niezależnej i niepodległyj ziemi, kiero je nasza i yno nasza. O kiero walczyli my w 7 powstaniach, z kierych 4 my pierońsko przegrali, a 3 pierwsze to sprawa dyskusyjno. Ale nie bydymy nad tym terozki medykować. Nima sie czymu dziwać, szwiec może klupać, to może sie tyż pogodać… O polityce tyż sie może łosprawiać. Ostatnie powstanie, w kierym walczył mój starzyk, było w roku siedemdziesiątym… dwa tysiące siedemdziesiątym, ale im sie tam nie podobało i musieli chyba pitnąć do lasa, bo go chopy długo

po krzokach i po rantach szukali. Do nos do chałpy tyż przylecieli takom fajnom rakietom, ale oma pedzieli, że żodnego nima doma.

Potym sie ponoć spełniły wszystkie możliwe przepowiednie i jak dupło, to sie moim starzikom chlywik łobalił i króliczok wylecioł w kosmos.

SKAFANDRYCI:

Wielkie dup! Wiater halny i miesiąc wielkij haje. Niebo było czorne jak rzić grubiorza. Wielkie dup! Co my sie strachu nażarli. Stajały lody i przyszła woda. Narody i lądy rozpoczyny wieeeeelko ponć. Szły i szły za słońcem, za horyzontem, za wiatrem, za kurzem. Szły furt ku lepszymu, połoblykani we szmaty, a wielu pomarło! Wielkie dup! Tak zmienio sie kosmos! Ludzie złoci, byście to widzieli!!!

SZWIEC:

U nos za to prawie nic sie nie zmieniło i chlywiki, i króliczok starzyk postawili łod nowa. Kury dalij łażom po placu i srajom, tak samo jak srały za starego piyrwy, u nos sie nigdy nic nie zmieni…

(pauza)

Chocioż… jakby tak wejrzeć z inszyj strony, to już nie trza było powstań robić, bo nie było przeciw komu. Teraz momy pod Czeladziom dostęp do morza. Anektowali my tych boroków, bo se nie dowali w rzici rady. U nos je wszystko po starymu, bo my pszajymy tymu, co sie nazywo: śląsko tradycja. Tradycja to je podstawa. Cołki świat gupieje, loto rakietami, do roboty na gruba najyni sie androidów grubiorzy. Som androidy policjanty, androidy masorze, androidy szmaciorze, a u nos jest jak było pierwyj.

Ja! Najsamprzód godka. U nos jest godka tako jak była 120 lot tymu, jak my jeszcze byli przi Polsce. Kożdy u nos mo robota, żodyn nie bumeluje, no, chyba że zapije… Odcinomy sie od świata, ale nom tego świata nie trza. Wejrzyjcie sie na Aloisa Strzody…

Dzwoni dzwonek nad drzwiyrzami i do warsztatu
włazi Alois Strzoda z drzwiami z fiata 126.

SZWIEC:

Szczęść Boże panie Alois. Co tam ku mie smyczysz?

ALOIS STRZODA:

Szczęść Boże panie szwiec. Mom tu blank ważno sprawa do wos. Tu mi sie taki dynks łodkleił. Poszyjcie mi to jako, zesztrykujcie, abo poklejcie. Pieron wiy co sie z tym robi!

SZWIEC:

A dyć to som drzwiyrza z fiata 126p…

ALOIS STRZODA *(z dumą):*

Ja! Rocznik 1987, przed liftingiem. Chopie, w Tychach zrobiony! Musza go na wiosna wyszykować, chca z frelom jechać na bigel. Przeca nie byda Anieli bankom woził. Wejrzijcie yno na ta tapicerka…

SZWIEC:

No ja, ale nie chcieliście sie kupić jakigo lepszego auta? Możno czinkłeczento, abo poloneza? Som nowsze roczniki, takie kiere majom po 120 lot i som w dobrym stanie.

ALOIS STRZODA:

To je klamorstwo. Tego nima co kupować… To auto je w naszyj familii łod pokolyń – co ty sie myślisz?! Mój starzyk to auto naprawioł, starzyk moigo starzyka, i starzyk starzyka moigo starzyka!!! Jo tyż to auto naprawia! Widza, panie szwiec, że wiary w panu mało. Licho jest waszo wiara jak kurz z cygarety na lufcie, pierońsko licho jak chorzowskie piwo. To auto przeżyło komunistów w downyj Polsce, 4 śląskie powstania i wielko haja. Styknie yno poszyć ta zesmolono tapicerka i zaś bydzie jak nowe!

SKAFANDRYCI:

I pojedzie Alois Strzoda z frelom na bigel. Tańce bydom cało noc. W gardła bydom piwo loć… yno drzwiyrza trzeba zszyć. Majt, majt. Klup, klup, klup, klup…

ALOIS STRZODA:

Panie szwiec, pan mie sie zdo jest coś za nowoczesny, jakieś nowe mody pan tu wprowadzo. Dyć to je jeszcze dobre, to sie wszystko jeszcze przydo. Wy niy szanujecie żodnyj śląskij tradycji, wy byście wszystko wyciepli i nojlepij kupili nowe. Izraelskie abo armeńskie, nowoczesne i furgajonce. Takie coby miało lampki i zrzadełka, coby sie wszystko świyciło jak rumuńsko rakieta. A jo wom godom, że to sie tak nie do. Wyciepać i zniszczyć to je chwila. A potym bydziecie wszyscy ślimtać… jeszcze wspomnicie ta moja godka i wtynczas powiecie:

„Jaaa… Alois to był mądry chop, łon mioł prowda, dobrze nom prawił, a to my byli do niego za gupcy. Jak gupie ciule na gwiezdnym mrozie poszli my za nowom, gupiom modom i pieron to wszystko strzelił…”.

SKAFANDRYCI:

I było wieeelkie dup…! A potym przyszeł pan Alois do swoich, a swoi go nie przyjyni…

SZWIEC:

Spokojnie, spokojnie, panie Strzoda, dyć jo wom te drzwiyrza polepia… Nie nerwujcie sie. Na co ta łostuda?

ALOIS STRZODA:

Pokleicie???

SZWIEC I SKAFANDRYCI *(unisono):*

Poklejymy!!!

SZWIEC:

Nic sie nie starejcie, przyjdźcie jutro trzi ćwierci na jedna, bydzie fertig.

ALOIS STRZODA:

Tuż z Panem Bogiem panie szwiec, licza na wos!

SZWIEC I SKAFANDRYCI *(unisono):*

Z Panem Bogiem panie Strzoda.

SKAFANDRYCI:

Klup, klup, to je łon, to je łon, klup, klup. Chop kiery klupie klup, klup… tak sie zmiynio kosmos. Klup, klup…

SZWIEC:

Nie poradza pokopić, pojakiymu słysza te głosy we gowie? Moja mi godo, że to łod tego klupanio, śmierdzącego kleju i gutalinu. Pado, że mom zwidy. Widza i słysza takie pierońśtwa, kierych nima. A mie sie zdo, że to smród łod tych szczewików – tako szwaja jak ze staryj fuzekle. No i nie dość, że w smrodzie, to musza jeszcze robić z ludźmi. A u nos naród dobry, yno trocha gupi. Nie za wiela książek czytajom i gupiom godkom sie zajmują. Z gółymbiorzym ło niczym nie pogodosz, yno ło jego pultokach usranych. Jak przydzie szkaciorz, to fanzoli ło tym, jak w karty szpilo i choćbyś mu szmary spuścił, to sie nie przyzno, że i tak tego nie pamięto, bo był za fest łożarty.

SKAFANDRYCI:

Klup, lepij klup.. Jeronie, jeronie, jeronie, tyś je zmierzły, chopie…

Z offu zaś słychać, jak dzwoni dzwonek nad wejściem. Zaś przilazi Alois Strzoda..

ALOIS STRZODA:

Panie szwiec!

SZWIEC:

Jeszcze nima fertig. Godołech żebyście na drugi dzień przyszli… jeronie!

ALOIS STRZODA:

Jo wiym. Jo wiym, ale słuchaliście Kosmicznych Wiadomości?

SZWIEC:

Jo słuchom yno radia z Piekor!

ALOIS STRZODA:

A nie głosili tam, że z nowyj stacji kosmicznyj pitło 2 goroli?

SZWIEC:

Jakich zaś goroli?

ALOIS STRZODA:

No takich auslendrów zza Kaukazu, co yno po chińsku i angielsku poradzom godać? Tela co przifurgali z etiopskij bazy na Saturnie i mieli furgać durś na inszo galaktyka, ale ponoć sie katapultowali w naszej strefie czasowej. Panie szwiec… dyć u nos nie było żodnych goroli od 30 lot. Żodyn nie chce przyjeżdżać na tyn skansen. Dyć tu ludzie wonglym w chałpach polom. My tu nie chcymy nic nowoczesnego. Tu mo być po starymu…

SZWIEC:

Dyć muszymy być trocha nowocześni. Świat idzie naprzód, a my chytomy mamlasy.

ALOIS STRZODA *(znerwowany):*

Jakie jo mom na to nerwy! Tela lot i był z nimi spokój i zaś ich bydymy mieć na puklu. Pierońskie gizdy. Walcmany zesmolone, pierzyńskie paciuloki!!! Kaj som moje tabletki na nerwy? Musza sie wrócić do dom. Ja... ida ku chałpie, panie szwiec. Domy tymu pokój, przida jutro.

SZWIEC:

Gupol.

(pauza)

Nima co sie lonkać tych kosmicznych goroli. Przydom sam, zrobia im tyju, eli bonkawy. Se siednymy i bydom mi łosprawiać o dalekich krajach. Pokożom mi, jakie jakle som modne na bezrok, jakie cygarety sie terozki kurzy. To je wszystko fest ciekawe. Pogodalibymy ło zdrowym trybie życia. Wiela jedzom abo wiela do basa tankujom! Co tam majom na tym Kaukazie. Radiski eli oberiba? Majom tam łoni blumkule? Rosnom u nich tyż wieprzki na krzoku? Możno majom co insze?

Ech, jakbych nie musioł tych szczewików klupać, to pojechołbych na tako rajza, furt w wielki kosmos. W upalne wyspy azjatyckie, abo wygrzoć rzić kajś na biegunie. Kupiłbych se na droga loga preswusztu i trocha oplerków. Jakbych dostoł jeszcze kupić żymły, to mogą jechać. Musiołbych do rugzaka

wziońć jeszcze ze 2 krauzy brateringów, bo nie wiym czy bydom tam mieli takie maszkety!

SKAFANDRYCI:

Czeko na cia wielki świat, milion trzysta gwiezdnych lat. Czeko na cia inszy ląd. Wyjedź szwiecu z nami stąd. Śląsk nie zniknie w chmurach, mrokach, jak zabraknie tu Ślonzoka. Tu zostanie milion dusz…

Juzaś słychać dzwonek nad wejściem. Włazi Alois Strzoda – jest dość fest łożarty.

SZWIEC:

Jezderkusie… Kaj żeście sie tak ścioprali panie Alois?

ALOIS STRZODA:

Spotkołech tego utopca spod lasa – Etmunda Eelisa. Zrobił dobro gorzołka. Aż żech sie zadziwił, jak sie synek wprawił. Jednego razu nalał do bimbermaszyny zacieru z marekwie…

SZWIEC:

Pojakimu z marekwie?

ALOIS STRZODA:

Bo nimioł nic inszego… Godom wom, jak sie te ruły zaszpanowały… jak dupło… Wielkie dup… Pół izby mioł wycioprane zgierowanom marekwiom… Co insze żech wom prziszeł łopedzieć. Tyn łożyrok powiado, że spotkoł dwóch skafandrytów.

SZWIEC:

A wto to je? Pierwsze słysza…

ALOIS STRZODA:

No te gorole, co pitły i ku nom sam przilazły… jeronie. No i łoni mu pedzieli, że jak chce, to mogom spełnić mu jakieś życzyni… I wiecie co łon im pedzioł? Że chciołby być babom!!!

SZWIEC:

Godo sie kobietom… No ale to nie może być po prowdzie…

ALOIS STRZODA:

Jaaa! Eelis godo kożdymu, że jak ich jeszcze roz spotko, to mu to załatwiom. Taki mo gupie myśli… tyn nasz Eelis…

Trocha za dużo my wypili, jezderkusie…

SZWIEC:

To nima takie blank gupie… Mogymy wiela spraw zoboczyć jak sie stanymy troszka z boku. Wszystko wtedy wyglondo inaczyj. Czasem dobrze je kaj wyjechać na jako rajza...

ALOIS STRZODA:

Ja, abo posłuchać gorola… Takigo, co ci łobieco, że cie zrobi babom. Piźnij sie w ten gupi dekel. Jo sie w tym waszym warsztacie yno znerwuja.

SZWIEC:

Pojakimu trzęsiecie galotami? Skuli tych skafandrytów? Przeca łoni som yno w waszym łepie.

SKAFANDRYCI:

Nie lonkejcie się, chopy! Dyć sie nima czego boć…

SZWIEC I ALOIS STRZODA:

O pierucha… prawdziwe gorole.

SZWIEC:

Pojakimu jo ich widza? Łoni poradzom godać?

ALOIS STRZODA:

Możno elektrykorze im zrobili translatory i majom nagrano nasza godka. To je zdrada! Zdrada, chopy!

SZWIEC:

Poradzicie tak zrobić, coby Eelis został kobietom, eli robicie nos za błozna?

SKAFANDRYCI:

Toć poradzymy. Momy specjalne klamory, co my zachabili ze kosmicznyj stacji. Nauczymy go tyż robić porzondno gorzoła, bo tego dynksu, co tam pyndzi, sie pić nie do.

ALOIS STRZODA:

To je dobro gorzoła, panie szwiec, trza ich stąd wyciepać, to som typowe gorole. Przyjechali do nos na pora minut i już wynokwiajom i już im sie tu niepodobo. Opa mi godoł, że gorole takie som…

SZWIEC:

To som nasi goście. Bydźcie już cicho z tymi gorolami. Mili panowie, a pojakimu przyjechaliście tu ku nom?

SKAFANDRYCI:

Jeżdżymy po świecie i zwiedzomy roztomajte ciekawe krainy. Momy we głowach specjalne oprogramowanie i poradzymy godać we wszystkich godkach tyj galaktyki.

ALOIS STRZODA:

Chyba mocie jakieś zwarcie, bo gupio godocie. Fanzolicie razym, bo jest wos dwóch, a mózg mocie yno jedyn, abo i mynij.

SZWIEC:

Co trza zrobić, coby sie z wami na tako rajza wybrać?

SKAFANDRYCI:

Domy ci skafander, wleziesz do rakiety i lecymy w wielki świat. Musisz wziońć ze sobom batki na zmiana, jako koszula, zoki… Na drzwiyrzach warsztatu musisz powiesić tabulka.

SZWIEC *(kreśli):*

„Jestech na wczasach, pojechołech na rajza, byda nazod kole świont..."

ALOIS STRZODA:

Nie dowejcie sie tak cyganić panie szwiecu, łoni wos wywiezom furt i bydom wos poniewierać. Jak wszystkich porwiom, nie bydzie ani wos, ani mie, ani żodnego Ślonzoka! To miejsce stanie sie pustyniom i godka zaniknie.

SKAFANDRYCI:

W wielkim świecie gro muzyka, w uszach bębni milion zdań. Wy bydziecie zowdy sam. Możesz klupać te szczewiki, możesz zwiedzać galaktyki. Możesz nawet zmienić płeć. Jak chcesz jechać – chopie jedź!

SZWIEC:

Jo by jechoł…

ALOIS STRZODA:

Jo to smola…

SKAFANDRYCI:

Roz posłuchołbyś gorola…

ALOIS STRZODA:

To jest koniec tego beranio. Niekierzy zaczynają godać do rymu. Tak sie to zowdy kończy. Jak przyjadom auslendry, wszystko je na łopy. Szwiec pojedzie na rajza dookoła galaktyki. Etmund Eelis sie zamieni w baba i zamiast ancugu bydzie mioł zopaska i klajd. Jo je yno ciekawy, wto mi pomoże dokończyć naprawa auta…

SZWIEC:

Jeronie! Godołech, że mocie prziść jutro. Poleca na rajza zarozki po szychcie…

SKAFANDRYCI I SZWIEC:

Yno nie śmiysz być nieskoro, bo psinco załatwisz!

Alois w nerwach odwraco sie na piencie i wychodzi. W połowie sceny robi sie ćmok i słychać dzwonek nad drzwiyrzami jak Alois wyłazi.

SKAFANDRYCI:

(po cimoku, unisono, półszeptem, coroz to ciszyj śpiywajom):
Klup, klup, to je łon, to je łon, klup, klup. Chop, kiery klupie, klup, klup.
Jedna godka, jeden plac. Cały świat. Klup, klup…
Dalij absolutny ćmok. Robi sie cicho. Słychać dzwonek
nad drzwiyrzami. Wszyscy wyleźli z warsztatu. Żodnego nima.

SZCZIGA, CZYLI HORROR PO ŚLONSKU

Marcin Szewczyk

CZAS:

XVII wiek, okres wojny trzidziestoletni na Górnym Ślonsku. Jak to we wojnie, brakuje masa rzeczy, panuje głód

PLAC:

Miasto Wodzisław i podmiejski las

OSOBY:

ERWIN – kopidoł wodzisławski. Chop dobrze po trzidziestce

HAJNEL – masorz z Wodzisławia. Chop przed trzidziestkom. Jak to masorz, je postawny i barczysty

PIUS – farorz wodzisławski. Chop dobrze po sztyrdziestce

TRAUTA – dopiyro co umrzyto heksa z okolic Wodzisławia. Jak to trup, je blado i mo podkronżone ślypia. W obyciu zachowuje grobowo powaga

BINA PIYRSZO

W izbie zico Hajnel. Mo na sia długi mantel. Je festelnie roztrzynsiony. Poci sie, telepiom mu sie rynki, w kerych rychtuje sznura, na kerej chce sie wieszać. Ślypia mo mokre i przekwione.

HAJNEL:

Ponboczku, dej mi ta odwaga, żeby ze sobom skończyć. Zrozum, że jo musza sie powiesić. Pod wiela byda żył, to Rołza bydzie sam przi mie, bo mi przaje, a jo nie umia ani onej, ani bajtli wyżywić. Trzeci dziyń już nic my w gymbach ni mieli! Jak jo zymrza, to ona do ojców se wróci i nowego, lepszego chopa poszuko. Przeca je jeszcze durch młodo i gryfno. Ale pod wiela jo byda żył, to ona ojcom nic nie powiy, a i mie po dobroci nie ostawi. Bestóż zrozum, Ponboczku, że jo tak musza. Wszyscy po miynso i wuszty chodzom do Ynsta, a jo już

ni mom ani co zbijać! Wojoki na wojna wziyni mój przichówek, bo tyn pieron mioł piniondze na łapówka do jejich oficyra! Taki zy mie je masorz nieudacznik. Masarnia stoi, ale piniyndzy ni ma, gadziny ni ma, miynsa ni ma, jeś też ni ma co. Bajtle sztyjć ślimtajom, Rołza też jak nie widza, choć normalnie tako dobro je do mie. Ponboczku, dej mi odwaga. Dej mi siyła na to. Musza to zrobić terozki, pod wiela ona je w kościele.

Hajnel wlazuje na ryczka, zaciepuje sznura na krokwia, wionże i zbiyro się, żeby se pyntla nałożyć na kark. Durch przi tym sie telepie i powtarzo: „Dej mi siyła, dej mi odwaga". Naroz keryś wali do dźwiyrzi. Hajnel sztywnieje, zlazuje wartko i chowie sznura pod mantel. Poprawio sie trocha i otwiyro. Do chałupy wlazuje Trauta, a śniom festelny ziomb. Hajnel je fest zmiyszany i ździwiony, naroz zaczło go uziombać. Trocha też je wylynkany, jonko sie z leksza.

HAJNEL *(jak wyży, trocha sie jonko przi godce):*

Dobry Trauto. Ale tam je zima na dworze. Co ody mie chcecie? Czamuście som tacy bladzi?

TRAUTA:

Nie wieszej się, synek.

HAJNEL:

Co? Jako to? Dyć jo nic... Co wy to godocie...

TRAUTA:

Powtarzom ci, nie wieszej sie.

HAJNEL *(trocha nerwowo):*

A fto wom padoł, że jo sie chca wieszać!? Co to mi sam fandzolicie!?

TRAUTA:

Nie fulej mi, że ni! Jo wszysko wiym! A pod mantlym mosz sznura schowano! Hajnel wylynkany klynko na ziymia z otwartom gymbom. Żegno sie.

HAJNEL:

Ponboczku drogi! To je prowda, co o was godajom, wyście som heksa, czarownica! Po coście do mie przziszli?!

TRAUTA:

Nie żegnej sie i Ponboczka nie wzywej. On cie dyć downo już opuściył. W rzici cie mo i dobrze wiysz, że twojigo rzykanio nigdy nie słuchoł. Jo przziszła cie z opresje wyratować. Pod dźwiyrzami postawiyłach bojtel z krupniokami. Wiym, że twoji familiji je terozki ciynżko, bestóż chca wom pomóc.

Hajnel zrywo sie ku dźwiyrzom, otwiyro i zarozki przzinosi rzeczony bojtel. Uradowany wyciongo śniego krupnioki, wonio i całuje ich.

HAJNEL:

Jeronie. Taki gryfne, świyże, krew jeszcze sie nie zeschła do porzondku. Jo przepraszom, że jo was heksom nazwoł, jo wiym, że to yny ludzie tak godajom. Ale...

Opuszczo bojtel i krupnioki, uzaś markotnieje.

Co mi po tym? Dzisio pojymy, a jutro zaś od nowa głód. Jo wom dziynkuja, ale co nom to do?

TRAUTA:

Mom jeszcze chruby miyszek ze szczebrymi monetami, kery rada ci oddom, ale trzi przisługi byda od ciebie chcieć za to. Mie tyn geld nie bydzie już potrzebny, a ty se na nowo masarnia otworzysz i przichówek kupisz. Z Rołzom i bajtlami bydziesz se dali spokojnie żył, tela tego je, że na to wszysko styknie i jeszcze co zostanie. Przibijesz symnom taki pakt?

HAJNEL:

A co bydziesz chciała za to? Bo to trocha zależy. Wiycie, nie chca wom źle pedzieć, ale ludzie o wos roztomańte rzeczy godajom, żeście dusza diobłu sprzedali i taki tam...

TRAUTA:

Nie fandzol gupot, Hajnel. W sumie rozchodzi sie yno o to, cobyś nie doł mi głowy urżnyć.

HAJNEL:

Co to? A kery wom chce głowa ucionć? Nawrożyliście co?

TRAUTA:

Ni, ale bydom tacy, co bydom chcieli mi łeb obetnyć, i to już fest niedługo. To jako bydzie? Decyduj! Pomogesz mi i sakwa ze szczebrym je twoja. Czy możno mom se iś i ci nie przeszkadzać przi wieszaniu sie?

HAJNEL:

Toć, że wom pomoga. Godejcie, kaj je tyn miyszek i co to mocie za trzi życzynia. Yno niech bydom taki, co byda umioł spełnić.

TRAUTA:

Pomału, dowiysz sie wszyskigo po kolei. Piyrszo przisługa bydzie tako. Za chwila przidom do cia kopidoł z farorzym, potakuj im, nie wadź sie i idź śnimi do lasa, kaj cie zakludzom. Stanom pod takim starym, uschnytym stromym. Pod jego północnom stronom je zakopany mój miyszek. Pod żodnym pozorym nie pokazuj im go ani im o nim nie godej! Potym ci powiym, co dalij zrobisz. Terozki jo już musza iś. Otwórz mi dźwiyrze.

Hajnel otwiyro, Truda wylazuje.
Młody masorz jeszcze roz wonio krupnioki, ukłodo ich na stole i liczy.
Raduje sie przi tym.
Naroz zaś keryś klupie. Hajnel uzaś otwiyro, do izby wlazujom kopidoł
Erwin i farorz Pius. Som doś zeszterowani i widać, że im śie śpiycho.

PIUS:

Pochwalony.

HAJNEL:

Na wieki wieków. Co was do mie skludzo?

KOPIDOŁ:

Momy fest ważno sprawa. Chcesz se przirobić trocha? Ponoć u cia terozki ciynżko...

HAJNEL:

Jo tam od roboty nie uciekom. Geld sie doma zawsze przido. Co chcecie i za wiela?

PIUS:

Dom ci trzi kury z mojigo chlywika, bo ci ponoć cały przichówek wojsko wziyno, i jeszcze pora fyników do tego, a i odpust, jak bydziesz kiedy potrzebowoł.

HAJNEL:

Suto zapłata. Co za to chcecie?

Farorz wzdycho, chwila milczy, nie wiy jako mo zaczonć.
W końcu odzywo sie Erwin.

ERWIN:

Wczora w nocy w końcu zdechła ta czorcio heksa Trauta. Trza jom odpowiednio pochować.

HAJNEL:

Co to godocie? Dyć jo śniom dopiyro co...

Przerywo mu upiorny głos Trauty, kery odzywo sie zza kulis, yno on go słyszy.

TRAUTA:

Potakuj im i nie wodź sie.

ERWIN:

Coś to padoł?

HAJNEL:

Nic, nic. Po prowdzie trzi dni już ech nie jod i sie nie czuja najlepszy. Co z tom Trautom?

ERWIN:

Cało noc wczoraj nad jejom chałupom czorty wyrobiały, jak i dusza do piekła brały. Wiater był, blyskało sie, coś tam wyło, jakiś światła blyndowały nad niom. Od rana ludzie godali, że musiała umrzyć, to w końcu jako kopidoł ech tam wloz i rychtyk. Leżała na zoli martwo!

HAJNEL:

To je niemożliwe...

ERWIN:

Godom ci, blank martwo! Padołech to farorzowi, ale heksy nie lzo na krześcijańskim kiyrchowie pochować. Bestóż trza jak z mordyrzami i lutrami, w lesie. Ale z takom dioblicom to ni ma tak łaps, bo ona moge po śmierci jako szczziga nazod stanyć i z ludzi krew spijać. Na szczynści farorz som uczyni i wiedzom, co na to zaradzić.

PIUS:

Ja, trza taki wiedźmie przed pochówkiym jednym szlagiym łeb ucionć i miyndzy fuzy w grobie położyć. Ale wartko, trzi dni yno na to momy, bo na trzecio noc od śmierci szczigi stowajom już! Bele kto tego zrobić ni moge, bo to trza jednym dobrym szlagiym fechtnyć. Kata z Raciborza nie skludzymy tak wartko, wojoki też już poszły wek, na szczynści momy dwóch masorzy u nas, co tyż sie na robocie znajom i ciynżki topory majom. Ynst, jak my mu to padali, to zblod, wylynkoł sie i padoł, że choby my go łańcuchym zakuli, to zuwizu i tak nie pódzie. Bestóż yno tyś nom ostoł. Urżniesz i ta głowa?

HAJNEL:

Jeronie, tak człowiekowi? Kata zy mie róbcie! Co inkszego baranowi łeb urzinać, a co innego człowieka ścinać!

Hajnel zico na ryczka zamyślony. Erwin zaczyno łazić po izbie i dziwać się naokoło. Dźwigo ze stoła pusty bunclok i dziwo się do pojrzodka.

ERWIN:

Jakoś biydnie sam mosz, nie wiym nad czym sie to wielce zastanawiosz. Słuchy chodzom, że u cia terozki źle je fest w chałupie. Rołza po prośbie chodzi...

HAJNEL:

Co to?

ERWIN:

Trzi dni do zadku była na farze. Dostała tam tyn buncloczek fetu, a że i jo je dobry człek, toch i doł trocha czyrstwego chleba, coch mioł na zbytku.

HAJNEL:

Tyn chlyb z fetym...

PIUS:

Ja, był od nas, ale koniec tej godki. Erwin, weź nie przigaduj chopu w utropie! Hajnel, w ciebie je ostatnio nasza nadzieja. Ona dyć już je martwo. Jedyn szlag i bydymy mieć spokój. A tak, jak ona stanie jako jaki sztrzigoń, to sam dopiyro sie krew bydzie loła! Nie zastanowiej sie, bo to je krześcijański obowionzek tak postompić i ku boskimu planowi swojich talyntów używać. A jak zapłaty mosz mało, to ci nawet koza dom! Bydziesz mioł chocioż dziynnie mlyko do bajtli.

ERWIN:

Jeronie, taki mojontek za jedyn szlag topora...

PIUS:

Być to pocichszy i nie szpyndlikuj sam! Sprawa je wyższo, to ni ma co sie sam szczypać. Tyś już zresztom też sie obłowiył na tym pogrzebie, boś Trautowo chałupa napewnie blank oszabrowoł.

ERWIN:

A co? Familie ni miała, a jo zapłata dyć musza dostać. Za darmo dziur nie kopia.

PIUS:

To też terozki nie wynochtwiej o ta koza! Hajnel, jako bydzie? Pomogesz nom?

Uzaś godo do niego zza kulis Trauta.

TRAUTA:

Potakuj im i nie wodź sie!

HAJNEL *(stowo):*

Dobre, zrobia to, ale tak, co żodyn w mieście nie bydzie wiedzioł. Jeszcze mi jaki mord potym przipiszom. Kaj to idymy?

KOPIDOŁ:

Do lasa pod miastym, wele starego grodziska, tam jom zakopiymy. Ty i łeb urżniesz, a farorz porzyko, coby na zicher z grobu nie stanyła. Pódź, na dworze momy jom już na furze gotowo. Trza sie śpiychać. Żodyn nic nie bydzie wiedzioł, bo żodyn ani nie wiy, że my tam jadymy z farorzym. Wszyjscy se myślom, że jom diobli sami prosto do piekła wziyni.

Hajnel potakuje. Wylazujom.

BINA DRUGO

Noc, las pod Wodzisławiym. Na binie je hołda ziymie i kamiyni, publika nie widzi, co je za niom. Wele ni leżom dwie sztychówki i topór masarski. Wlazujom Erwin i Hajnel, targajom w rynkach Trauta – owinyto w prześciyradło, ale z wystawionom głowom. Kładom jom za hołdom tak choby wciepowali jom w płytko dziura. Siodajom na zoli, dyszom zmachani. Hajnel co chwila dziwo sie na uschnyty strom, co stoi obok. Pod nim leży konsek próchniejoncego pnioka.

ERWIN:

Co sie tak dziwosz po tym stromie? Je tam co?

HAJNEL:

A tak jakoś ściongo mi ślypia ku niymu. Nie wiym czamu.

ERWIN:

Możno bestóż, że je taki straszny. Przi takich rzeczach zresztom wszysko je straszne. Ujec mój – Chimek – godali hankiejś, jak oglondali polyni heksy na rynku w Raciborzu, co jom za uroki na śmierć tako skozali. Godali, że w same połednie ćma sie zrobiyło jak ona gorała, a i cało chmara wron sie nie wiadomo skond śleciała. A las rychtyk je straszny bez tako noc, tyn uschnyty strom zwłaszcza.

HAJNEL:

Możno mosz i recht.

ERWIN:

Doczkej, ida pedzieć farorzowi, że my już som dran gotowi, niech robi wartko te modły. Ty urżni ji ta głowa i idymy, bo z tego strachu to mie coroz to bardzi uziombo po plecach.

Erwin kaś idzie. Hajnel zaroz sie zrywo i leci ku uschnytymu stromie, kopie rynkami ziymia po północnej stronie. Za momynt wyciongo miyszek z piniondzami, rozsuwo trocha na rynka, gryzie jedna moneta. Oczy mu sie aż świycom. Naroz zza hołdy wyłanio sie Trauta, siodajonc.

TRAUTA:

Widza, żeś znojd mój skarbek.

HAJNEL *(fest sie źlynk):*

Jezderkusie! To wy żyjecie? Jo już z tego nic nie poradza spokopić.

TRAUTA:

Ja, żyja, tak choby. To je tako... tako choroba. Farorz i kopidoł mie otruli, żeby moje dobra ukraść. Ludzie o mie roztomajte bery godajom, bo wiedzom, że jo je bogato, i żech z lutrami kiedyś trzimała. To bestóż do kościoła nie chodza, a nie skuli tych bojek o trzimaniu z diobłym. Farorz nie chcioł lutrów we swoim katolickim Wodzisławiu. Dogodoł sie z Erwinym, coby mie otruć i do ziymie wciepać, ale żeby żodyn śnich grzechu zabójstwa nie popełniył, wymyślyli ta geszichta o szczidze, żeby to kery inkszy mie zetnył i do reszty zabiył, co na niego by tyn grzych spod. A majom yno trzi dni, bo tela trucizna od nich funguje. Terozki już wiysz wszysko. Jo moja czynść paktu wypełniyła, mosz swoi szczebro. Terozki pamiyntej, nie dej im mi głowy urżnyć, bo nie chca, żeby mie do reszty zabiyli. A i mom nadzieja, że ty tyż.

HAJNEL:

To taki pierony som? Jo nie wiedzioł. Taki fałszywce i zaprzedańce, a wyście dyć som dobre ludzie, i co z tego, że lutry. Jak lutry-Czechy Wodzisław mieli, to spokój był i ordnung. A potym jak nazod katolicki Austryjoki przziszły, to mi cołki dobytek wziyni, bo wojsko wielce potrzebowało. Jak tak se terozki rozważuja, to moge i jo wiara zmiynia, moge te lutry to nie som taki blank heretyki, jak nom farorz z ambony godajom? A i jeszcze tyn chciwiec Erwin, widza wiela tego szczebra je. To je majontek! To je na niego podane, już downo ludzie godali, że je śniego straszny szpyndlikorz, i że za wykopani dziury se fest drogo liczy. Nie chca waszej zguby, moja dobrodziejko. Ale co jo mom zrobić, kozaliście mi im potakiwać i iś śnimi, oni teraz bydom chcieć, cobych wom głowa zetnył. Co jo mom zrobić?

TRAUTA:

Nie wiym, to już je twój frasunek, ale broń mie. Moji drugi życzyni je taki, cobyś mie obroniył przed Erwinym, a trzeci, żebyś nie doł też farorzowi mi ukrziwdzić. I schowej te piniondze, bo jak ich ujrzom, to i ciebie bydom chcieć zabić, bo to je wielki majontek, a oni fest zachcidlaci na geld som, tyn kopidoł zwłaszcza.

HAJNEL *(po wartku nazod zakopuje miyszek, ale tak trocha ajnfachowo):*

Ja, ja. Już jo widza, że im na tym fest zależy, nie dom sie za błozna zrobić. Yno jako? Na dyć, jak wy umicie godać i siedzieć, to czamu normalnie nie ucieczecie?

TRAUTA:

Tak ci sie yno zdowo, synek, jo tak rychtyk durch leża, a mój głos yno ty słyszysz.

HAJNEL:

Co? Jako to tak?

TRAUTA:

Na świecie je czorno magia, co od diobła pochodzi, ale je też bioło, co ni ma od niego. Trocha się na nij znom i korzystom jak potrzebuja; ale nie byda ci terozki tego wszyskigo erklerować, bo już sam idom. Nie dej mie głowy pozbawić!

HAJNEL:

Ale jako? Co mom zrobić?

TRAUTA *(nazod lygo):*

Nie wiym, wycygoń ich jako, abo nawet zabij. Dyć zabici mordyrza to ni ma grzych.

HAJNEL:

Co to? Ni!

Wlazuje farorz i kopidoł.

PIUS:

Spokojnie synek, to yno my.

ERWIN:

Dobre, to róbcie farorzu, co musicie. Hajnel, ty też już szykuj ta sikiyra.

PIUS *(żegno sie):*

In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti. Amen.

Przerywo.

Osz Ponboczku! Nie wzionech wody świynconej!

ERWIN:

I terozki co? Muszymy sie po nia wrócić?

PIUS:

Ni, nic sie takigo nie stało, mocie trocha zwykłej wody? Zarozki jom poświynca i bydzie po kłopocie.

ERWIN:

Nic ni momy, ale tam za tom skarpom je źródełko. Farorz mogom tam iś, yno niech dowajom pozór, coby tam kaj orła na jaki dziurze nie strugnyć.

Farorz potakuje i idzie.

ERWIN:

To zatyn czas weź i ji chocioż ta głowa urżni, synek. Już tela bydymy dran.

Hajnel stoi.

ERWIN:

No, na co to czekosz? Na to żeś sam był potrzebny, nie bydź taki wylynkany.

HAJNEL:

Nie zrobia tego, pieroński szpyndlikorzu. Jo wiym, że ty chcesz jom oszabrować!

ERWIN:

Co to godosz, gupieloku? Zaś z tego głodu mosz jaki halucki?

HAJNEL:

Nie fulej mi sam! Wiym wszysko!

ERWIN *(biere topór od Hajnela z ziymie i chce mu podać):*

Skończ fandzolić i bier sie do roboty!

HAJNEL *(chyto sztychówka):*

Puś ta sikiyra, bo nie chca ci krziwdy zrobić.

ERWIN *(cofie sie i ucieko za uschnyty strom):*

Tyś chopie mi sie zdo ogłup. Ta heksa na cia jaki urok ciepła. Farorzu, ratujcie!

Chce pitnyć, ale potyko sie o nie do końca zasypano dziura,
kaj je wciepany miyszek ze szczebrym.

Osz jeronie, piniondze! Kery to sam zakopoł?

HAJNEL *(wściekły):*

Ty, ostow mój geld!

Ciepie sie z łopatom na Erwina. Wali go roz bez głowa i kopidoł pado martwy na zola. Masorz wartko chyto go za rynki i tarmoli w jakiś krzoki za binom, ale w tym momyncie z drugi strony wlazuje farorz Pius.

PIUS:

Coś ty synku nawrożył?

HAJNEL:

Farorz też tu przziszli już? Jo wiym wszysko, pieroński mordyrze! Nie dom wom sie w mordowani Trauty wrobić!

PIUS:

Co to godosz? Czamuś go zabiył? Ty nie rozumisz, żeś właśnie życi wieczne przegroł?

HAJNEL *(biere topór od martwego Erwina):*

Życi to zaroz wy pozbiydziecie.

PIUS:

Co ty robisz? Opamiyntej sie!

Farorz ucieko za kulisy. Hajnel leci za nim. Za momynt słychać jedyn krótki wrzask i pora szlagów topora.
Za chwila nazod przichodzi Hajnel, cały od kwie.
Mo skwawione lonty, rynki i gymba.
Siodo pod stromym, biere swój miyszek i zaczyno liczyć.

HAJNEL:

...dwajścia siedym, dwajścia ozim, dwajścia dziewiynć, trzijści. Trzijści srzczebnych talarów! Nigdy wiyncy głodu! Terozki Ynst obejrzysz!

Z boku wlazuje blady Erwin, na czole mo kwawo szrama.
Ślypia mo podzolowane. Z drugi strony wlazuje farorz Pius, cały zmasarzony.
Cało gymba i lonty mo we kwi. Stowo też zza hołdy Trauta. Złowieszczo sie rzo.

ERWIN:

Trzijści srebrników!

PIUS:

Judosz! Jak Judosz eś nas sprzedoł!

Trauta zanosi sie dziwokim rzaniym.

ERWIN:

Trzijści srebrników!

PIUS:

Judosz!

We dwóch osaczajom Hajnela pod uschnytym stromym.
I co chwila powtarzajom swoi kwestie:
„Trzijści srebrników!" i „Judosz!".

HAJNEL:

Co wy godocie?! Dyć wyście som martwi! Co to sie dzieje?! Trauto, ratujcie mie!

Heksa durch sie rzo, farorz i kopidoł dali osaczajom Hajnela, dugajom go sobom, on sie od nich odsuwo. W końcu odskakuje i chce uciyc, ale przewraco sie i pado na zola. Piniondze sie wysypujom. Do leżoncego podchodzi Pius i zza mantla wyciongo mu sznura, na kerej pora godzin do zadku tyn chcioł sie wieszać. Hajnel trzimie drugi koniec. Farorz ciongnie go ku stromie. Erwin pomogo mu stanyć. Durch powtarzajom swoi kwestie.

ERWIN:

Trzijści srebrników!

PIUS:

Judosz!

HAJNEL:

Jak Judosz... Za trzijści srebrników ech was sprzedoł! Co jo nawrożył?! Co jo nawrożył?!

Z pomocom farorza roztelepany i wylynkany Hajnel zaciepuje sznura na asta i wionże do stroma. Potym stowo na spróchniałym pnioku, zakłodo se pyntla na kark. Farorz i kopidoł powtarzajom coroz głośni swoi kwestie.

ERWIN:

Trzijści srebrników!

PIUS:

Judosz!

Kurtyna sie zasuwo. Po nij słychać odkulnyty kulok i fest dziwoki śmiych Trauty. Oroz śnim słychać też krziki tulmy.

TULMA:

Szcziga! Ratunku! Szczigoń! Upiór! Heksa! Szcziga!!!

OD AUTORA:

Czy tak rychtyk było? Napewnie ni. Wiadome za to je, że niedaleko starego miasta Wodzisław przi wykopaliskach pod nieistniejoncym już dzisiej kierchowym, na kerym chowało sie niekatolików, kryminalistów i umrzytych z miejskigo szpitala, archeologi znejdli zwłoki jednej baby, co miała urżnyte dłonie i szłapy. A tak sie za staryj piyrwy chowało tych, co mogli stanyć po śmierci jako szcziga abo jaki wampir.

Marcin Szewczyk

Fenig – w downym cesarstwie austriackim nazwa drobnego piniondza z miedzi abo mosiondzu

Litery „rz” czyto sie rozdzielnie, tj. „r-zo”

W SAME POŁEDNIE

Marcin Melon

GRAJŌM:

KOMISORZ ACHIM HANUSIK – nojlepszy ślōnski policaj
ANTEK SZYNDZIELORZ – stażysta w kancelaryji prawniczyj „Żymła and Żymła”
TRUDKA NOWOK/HANKA MATYSEK, GRYJTA FURGOCZ (matka Trudki i Hanki)

BINA PIYRSZO

Stół, dwa stołki. Na jednym stołku siedzi Antek Szyndzielorz, mody karlus w ancugu. Ze zadku stoi Komisorz Achim Hanusik.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Dobra, Szyndzielorz, jeszcze roz. Ino godej prowda, chobyś bōł u suchatelnicy. Trzi ćwierci na dwanosto sztyrknoł do ciebie mecenas Markowski i kozoł prziniyść te dokumynty, ja? Skserowoł żeś je i piynć po dwanosty wloz żeś rajn do jego biura. I padosz, że ôn już wtenczos bōł umrzik. Znod żeś go z nożyczkami wrażonymi w ôko, ja?

ANTEK SZYNDZIELORZ:

Ja, genau.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

A jak wyerklerujesz to, że na umrziku znodli my ślady chaje i odciski twoich palców?

ANTEK SZYNDZIELORZ:

Chcioł żech go ratować, zoboczyć, co sie mu stało. Katać bych sie pomyśloł, że ftoś go prawie zaciukoł.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Jak dugo robisz za stażysty w kancelaryji „Żymła and Żymła”?

ANTEK SZYNDZIELORZ:

W lipcu żech zaczon. Skończyłech studia ôńskigo roku, cōłki tyn czos żech szukoł roboty i w lipcu yntlich mecenas Żymła wzion mie za stażysty.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Jak żeś sie dogodywoł z Markowskim?

ANTEK SZYNDZIELORZ:

Normalnie, ôn bōł adwokat, a jo stażysta. Co mi kozoł, to żech robił.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Jedyn z twoich kamratów godo, żeś bōł na niego znerwowany, bo żeś padoł, że Markowski je leber i durś ino kafyj pije i cygarety kurzy, a robić sie mu niy chce.

ANTEK SZYNDZIELORZ:

Jo? No, może roz żech tak pedzioł… Ale katać tam, żebych go miōł skiż tego zaciukać ôd razu!

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Momy jeszcze jedyn motyw. Tyn motyw mo fest dugie blond kudły, ôblyko gryfne modre kecki i robi sam u wos za sekretarki. A mianuje sie Truda Nowok.

ANTEK SZYNDZIELORZ *(ôroz cōłko gymba zaczyno mu sie śmioć):*

Trudka… Ja, Trudka…

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Co ci sie, Szyndzielorz, ôroz tak wesoło zrobiło?

ANTEK SZYNDZIELORZ:

Mie? Niy, katać tam… Fajno frelka je…

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Zolycił żeś z niōm?

ANTEK SZYNDZIELORZ:

Jo? Niyyy… Pogodali my roz eli dwa razy…

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Ciekawe… Bo niekierzy padajom, że widzieli wos zolycić. Godej, Szyndzielorz, jak to richtich bōło… Ty i ôna, ja? A wiesz, że ôna zolyciła tyż z Markowskim?

ANTEK SZYNDZIELORZ:

Trudka z tym lebrem?! Niy wydowo mi sie!

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

No, a mie sie cosik wydowo, że jednak ci sie rozchodzi ô ta frela. Motyw momy, narzyndzie zbrodni tyż i ôdciski palców. Antoni Szyndzielorz, aresztuja wos pod zarzutym zamordowanio Karola Markowskigo.

Na bina włazi Trudka Nowok.

TRUDKA NOWOK:

Panie komisorzu! Jo niy chca wos szterować, ale musza wom cosik pedzieć. Jo sie mianuja Trudka Nowok. Robia tukej za sekretarki. Chciała żech ino pedzieć, że Antek Szyndzielorz je niwyinny. To niy ôn zamordowoł Markowskigo.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Dzioucha, ô tym zdecydujom w gerichcie. Podobo mi sie, że chcesz pomogać swojemu kamratowi, ale bardzij przido mu sie dobry adwokat terozki.

TRUDKA NOWOK:

Ale jo wiem, że to niy ôn…

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Skōnd wiysz?

TRUDKA NOWOK:

Bo to… Bo to jo zabiła Markowskigo…

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

No, musza pedzieć, żech sie takigo wyznanio ani niy spodziewoł. A po jakiymu niby ty byś go miała zabić?

TRUDKA NOWOK:

Jo niy umia tego wyerklerować tak po prowdzie… Cosik mie ôroz opyntało, choby jakiś demon, eli inksze pierońswo… Jak żech zoboczyła, że tyn leber zaś siedzi, pije kafyj i pocisko gupoty, zamiast robić, to żech już niy poradziła strzimać. Chyciła żech te nożyczki i…

KOMISORZ ACHIM HANUSIK *(szkrobie sie po gowie, idzie zmiarkować, że niy umi tego spokopić):*

Padosz, żeś go zabiła ino skuli tego, co cie nerwowało, że chop pije kafyj, a niy robi, ja? Ciynżko mi tak po prowdzie dować w to wiara, ale kej żeś sie przizna-ła, to ciebie tyż musza aresztować. Zoboczymy, możno fto jeszcze sie przizno? Maszketno sprawa… Sierżancie Kluska! Biercie ich do heresztu, i ônego, i ônyj.

Trudka Nowok i Antek Szyndzielorz idom weg z biny.
Komisorz Achim Hanusik wyciongo mobilniok i wklupuje numer.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Inspektor Smolorz? Jo godom, Achim Hanusik. Jeżech prawie w kancelaryji „Żymła and Żymła", kaj ftoś zaciukoł adwokata Karola Markowskigo. Czy mom podejrzanego? Nawet wiyncyj jak jednego! Je karlus, kery sie mianuje Antoni Szyndzielorz, tyn, kery piyrszy go znod i miōł motyw. I je modo frelka, mianuje sie Truda Nowok i robi sam za sekretarki. Wszysko mi godo, że to ôn,

ale ta Trudka pado, że to ôna go zabiła. Wiym, że maszketno sprawa… Pado, że zrobiła to ino skuli tego, co nerwowało jōm to, że tyn Markowski ciyngiym pije kafyj, a robić sie mu niy chce. Mom prośba, mogecie mi cosik sprawdzić? Mom taki gyfil, że podobno sprawa ôńskigo roku dzioła sie w Chorzowie. Ftoś zaciukoł jednego byjamtra tam… Ja, jakoś tak na podzim to bōło. Jako to firma bōła? Pooltock&Johnson, ja? Jak ôn sie mianowoł? Kowolik? Jo tam pojada i pogodom z jego kamratami. Mom taki gyfil, że te dwie sprawy majom ze sobom cosik wspólnego…

BINA DRUGO

Firma „Pooltock&Johnson" w Chorzowie. Stół, przi kierym siedzi sekretarka Hanka Matysek, kero po jakiymuś wyglōndo genau jednako jak Trudka Nowok. Włazi komisorz Achim Hanusik.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Dobry, komisorz Hanusik, Ślōnsko Policjo. Chciołech sie spytać…

HANKA MATYSEK:

Ja, dobry, ô co żeście chcieli sie spytać?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Trudka Nowok?! Co ty tukej robisz? Dyć jo żech kozoł zawrzić cie do heresztu!

HANKA MATYSEK:

Mie? Do heresztu? Po jakiymu? I jo sie niy mianuja Nowok, ino Matysek. Hanka Matysek żech je.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Ale przeca wyglōndosz genau jak Trudka Nowok… Pokoż mi ino auswajs!

Hanka Matysek dowo komisarzowi Achimowi Hanusikowi auswajs.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Richtich, Hanna Matysek… To je aże niymożliwe, cobyście bōły jedna na drugo takie podane… Choby jakie cwilingi! Mosz ty siostra?

HANKA MATYSEK:

Jo? Siostra? Nic ô tym niy wiym!

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

A jak sie mianuje twoja muter?

HANKA MATYSEK:

Gryjta Furgocz. A po jakiymu sie pytocie?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Poczkej ino dzioucha.

Komisorz Achim Hanusik idzie ku jednyj zajcie biny, wyciongo mobilniok i wklupuje numer.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Mom prośba, sprowdźcie mi ino, eli momy notowano tako baba jak Gryjta Furgocz. Ja… Ja… Rozumia… W Szopienicach mieszko, ja? Spytejcie sie ino Trudki Nowok, jak sie mianuje jeji matka. Trudki Nowok, tyj co my jōm dzisiej zawarli. Ja, ta kero przizná sie do zamordowanio adwokata Markowskigo w kancelaryji „Żymła and Żymła". Dobra… Pyrsk!

Komisorz Achim Hanusik idzie nazod do Hanki.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Miała żeś, dzioucha, recht, wzion żech cie za inkszo baba. A poradzisz mi pedzieć cosik wiyncyj jak to bōło, kej ôńskigo roku ftoś sam u wos zaciukoł tego Pyjtra Kowolika?

HANKA MATYSEK:

Kowolik… Ja, Kowolik, pamiyntom… Jo go mało co znała tak po prowdzie…

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Dobra, niy lej sie żurym! Niy mom czasu na fandzolynie! Wiem, żeś to ty go zaciukała. Godej prowda, to możno jakoś poradzemy ci pomóc.

HANKA MATYSEK *(zaczyno ślimtać):*

Jezderkusie, to już tak downo bōło, jo już myślała, że żodyn ô tym niy pamiynto. Jo musiała! Dyć ôn mie chcioł zgwołcić!

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Psinco prowda. Godej jak bōło, ino niy cygoń.

HANKA MATYSEK:

A wom sie zdowo, że jak bōło?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Niy wiem. Możno szterowało cie to, że chop mało co robi, ino ciyngiym pocisko gupoty i kafyj pije?

HANKA MATYSEK:

Ja… Richtich… Ale skōnd… skōnd wy to wiecie? Jo niy poradza tego ani wyerklerować… Tak choćby ôroz cosik mie opyntało… Zawdy ćwiyrć na dwanosto

mieli my cigaretpauza. Na piytnoście minut mogli my wylyźć, ale tyn leber siedzioł hań niyroz i do dwanostyj.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

I prawie ô dwanostyj żeś sie na niego ciepła, ja?

HANKA MATYSEK *(durś ślimto):*

Jakoś tak… Jo sama mało co pamiyntom z tego… Ino żech wziynła filok i żech mu go wraziła w…

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Już tak niy ślimtej, na, mosz taszyntuch. Bier sie, dzioucha, poznosz hnet swoja siostra. Jadymy do heresztu. A jo za tyn czos pojada do Szopienic, coby sie trefić z twojōm muter.

BINA TRZECIO

Miyszkanie staryj Furgoczki (ôbleczono w zmaraszony fortuch, we kudłach pōłno fetu, koncek szczyrbato staro ouma), kero siedzi wele stoła. Włazi komisorz Achim Hanusik.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Dobry. Szukom Gryjty Furgocz. Pedzieli mi, że sam jom znojda.

GRYJTA FURGOCZ:

Jo sie mianuja Gryjta Furgocz. A fto mie szuko?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Komisorz Achim Hanusik, Ślonsko Policjo. Chca sie wos spytać ô pora rzeczy z waszego życio.

GRYJTA FURGOCZ:

Moje życie, komisorzu? Kożdy widzi, jakie jo mom życie. Tela co mi styko penzyji ôd piyrszego do piyrszego. Gybis mi sie połomoł, a na nowy mie ani niy stykać. Cołkie życie durś ciynżko robota. Wychowała żech sie na wsi, wele Bierunio. Miała żech dość ciynżkij roboty w polu, to żech sie wykludziła do miasta. Dostała żech robota w hucie, ale dyć to durś to samo. Ciyngiym nic, ino robota i robota…

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Chca z wami ôsprawiać o waszych cerach: Trudce i Hance. Mieliście je kożdo z inkszym chopem, ja? Jedyn mianowoł sie Nowok, a drugi Matysek, pra?

GRYJTA FURGOCZ:

Ja, ja, borok Nowok, mój piyrszy chop, modo żech jeszcze bōła, jak żech z nim miała Trudki. Chachor to bōł i tela, ô nic niy szło sie go doprosić. Godom mu, co mō iść naciupać drzewa, a ôn ino siedzi i pije te piwsko. Godom, żeby roboty sie poszukoł, a ôn siedzi i pije piwsko. Jednego razu godom mu, co mo iść do sklepa i przysmyczyć mi kartofli, a ôn godo, że niy, bo… pije piwo terozki! No i wtenczos Ponbóczek go pokoroł i zesłoł na niego hercszlag.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Hercszlag, godocie…

GRYJTA FURGOCZ:

Trudka bōła fest mało wtenczos, to jo żech jōm dała do mojij szwigermuter, coby sie tam lepij miała, bo co jo żech ji mogła dać? Cōłki dziyń ino w robocie… Niyskorzyj żech trefiła tego Jorga Matyska. Ale to tyż bōł leber. Gryncbuła tako. Tyż durś pił, a do roboty miōł dwie lewe rynce. Ciyngiym my sie wadzili ô bele co. Miała żech z nim Hanki. Aż keregoś dnia tyn pieron sie naproł i sie ôbwiesił w pywnicy. I ôstawił mie samy ze Hankōm! Gizd pierziński.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Ôbwiesił sie, godocie… Furgoczko, chciōłbych jeszcze spytać sie wos ô jedna rzecz: ô kery mni wiyncy godzinie wasz Jorg sie ôbwiesił, a Nowok miōł tyn hercszlag? Niy bōło to czasym wele połednio?

GRYJTA FURGOCZ:

Niy pamiyntom już, to tak downo bōło…

KOMISORZ ACHIM HANUSIK *(robi jom za bozna):*

No ja… Wiadomo… Downo, tela już lot przeca… No nic, dziynkuja wom… Trza sie brać… Wiela to je godzin? A, widza, że hnet połednie… Dzisiej piōntek… Fto by mi to kozoł robić jeszcze ô tym czasie? Póda sie do szynku, piwo sie lajstna… A przódzij jeszcze sie krepla kupia, terozki je tako hamerykańsko moda u policajów, że ciyngiym kreple frygomy. Przeca sie mom prawo trocha poalować, pra? Furgoczko, widza co żeście sie pomiyniali na gymbie… Gorzyj wom?

GRYJTA FURGOCZ:

Niy, niy, komisorzu… Jo ino…

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

No nic… To jo cisna do szynku.

GRYJTA FURGOCZ *(ôroz zaczyno ryczeć po komisorzu Hanusiku):*

Do szynku?! Do szynku?! Do roboty, giździe pieroński! Kożdy chop je po jednych piyniondzach, zawdy żech to godała! Kaj jo mōm kloper?! A mosz, ty lebrze pieroński!

KOMISORZ ACHIM HANUSIK *(chyto Furgoczki za rynce i ôblyko jij kajdanki):*

Gryjta Furgocz, aresztuja wos za zabicie starego Nowoka, Jorga Matyska i pieron wiy kogo jeszcze. A tak przi okazji, we hereszcie czekajōm już na wos wasze cery: Trudka i Hanka.

BINA CZWORTO

Komisorz Achim Hanusik siedzi wele stoła i wklupuje w laptopa raport. Na stole telefon.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK *(som do siebie):*

Fest maszketno sprawa… Trzi baby: matka i dwie cery. Kożdo z nich chociaż roz w życiu kogoś zabiła. Żodno niy mō normalnego motywu, żodno niy wiy po jakiymu to zrobiła. Kożdo godo, że ôroz dostała szmyrgla, poczuła w siebie tako srogo złość ino skuli tego, że ftoś zamiast robić, to zajmuje sie gupotami. Jo rozumia, co to je „ślōnski etos pracy", ino że to już je lekko przesada. A nojbardzij maszketne je to, że za kożdym razem to sie dzieje ô jednym czasie, genau w połednie. Trza badnōnć, co znojda w internecu…

(wklupuje cosik na laptopie)

„Połednica… Ślōnski demon, abo, jak to sie godo po ślōnsku, stworok. Wyglōndała choby normalno baba, miała fest dugie blond kudły". Hmm… I Truda, i Hanka majōm dugie blond kudły… Staro Furgoczka mo w nich tela fetu, że ani sie pokapować niy idzie. „Połednice fest szterowoł fakt, że ftoś nyno w robocie, zamiast robić. Napasztowały ludzi ino wele połednio. Kej taki leber, żniwiorz, legnōł sie na chwila w polu, połednica ciepała sie na niego i…". Pasowałoby… Ino że te połednice przeca napasztowały ino ludzi na wsi. Katać ône terozki przekludziłyby sie do Katowic i zaczły robić w korporacjach? Z drugij strony, staro Furgoczka godała, że dyć ôna je ze wsi… Som niy wiym.

Komisorz Achim Hanusik zawiero laptop, dowo głośnij radyjoka.

GŁOS W RADYJOKU:

Warszawioki majōm zaś nowo afera. Minister Kowalski pedzioł bezma posłowi Malinie, że tyn je guptok i cygon. A terozki ô tym, co sie wyrobio sam u nos na Ślonsku: trzi fest frechowne baby pitły z katowickigo heresztu i ranżyrujom po mieście. Małgorzata F. i jeji dwie cery, Gertruda N. i Hanna M., siedziały we hereszcie oskarżone ô morderstwa sztyrech chopów. Dzisiej wele dwanostyj w połednie ôroz erbły jakoś nadludzko moc, wyłomały kraty, wklupały strażnikowi i pitły. Pietnoście minut nazod widzieli je napasztować robotników na Koszutce. Chopy, kere dowajōm hań nowy asfalt na cesta, prawie mieli cigaretpauza. Trzi baby ciepły sie na nich, nazdały im ôd lebrów, wziynły im hercówy i zaczły im loć. A majōm pierony tako siła, że dwóch chopów trefiło do szpitala…

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Jeronie! Te pierony sōm na Koszutce! Leca tam!

Wtenczos sztyrko mu mobilniok.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Ja? Hanusik godo. Ja, słyszołech. Pitły ze heresztu i napasztowały ekipa na Koszutce. Ale katać ône som w cyntrum już? Tak gibko lotajōm?! Przeca to je niymożliwe! Wlazły na dyżur radnego…? TEGO radnego?! Tego, co to mo dwie lewe rynce, ja? Jezderkusie! I co? Nawciepowały mu ôd lebrów tyż, ja? Zdemolowały mu cōłkie biuro? Radnemu nic niy ma? Zaroz tam jada!

GŁOS W RADYJOKU:

Momy już nowe informacje ô trzech babach, kere siejōm terror w Katowicach. Po tym, jak napasztowały ekipa remontowo na Koszutce, poradziły już dolecieć do cyntrum i zaatakować radnego…

Komisorz Hanusik w ostatnij chwili gasi radyjoka.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Dyć to niy mo żodnego cweku! Za gibko lotajom, coby je chycić! Musza zgodnōnć, kery bydzie ich nastympny ruch… Im sie rozchodzi ô to, coby mścić sie na roztomajtych elwrach… Kaj nojwiyncy elwrów znojdōm… Przeca w arbajtzamcie! Dzisiej prawie dowajōm hilfy. Cisna tam!

Komisorz Achim Hanusik gibko leci weg z biny.

GŁOS W RADYJOKU:

Momy nojnowszo informacja na tymat Małgorzaty F. i jeji cerów. Ponoć terozki sōm w arbajtzamcie na Zołynżu. Zabarykadowały sie rajn, godajōm,

co wziynły sztyrech elwrów za zakładników. Pedziały, że bydōm ich zabijać jednego po drugim…

BINA PIONTO

Arbajtzamt. Zza dekoracyji kuko staro Furgoczka i keroś z jeji cerów (pieron wie kero, dyć jedna na drugo je blank podano). Włazi komisorz Achim Hanusik.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Gryjta Furgocz, som żeście… *(filuje na prawo, filuje na lewo)* som żeście otoczone, niy mocie żodnych szans! Wypuśćcie elwrów, to i wom sie nic niy stanie!

GRYJTA FURGOCZ:

Niyyyy! Jo sie już za tela napatrzała na wos, chachary pierońskie, robić sie wom niy chce! Ino byście sie alowali! Ftoś musi z wami porzōndek zrobić! Jo inakszy bōła chowano! U nos na wsi trza bōło ciynżko we polu robić, a jak ftoś sie ino legnōł, to… Aaa, co wos to ôbchodzi! Jo i moje cery bydymy zabijać jednego elwra po drugim, aże same robotne chopy ino ôstanom na świecie.

GŁOS ELWRA-ZAKŁADNIKA:

Chopy, ratujcie nos! To som jakieś ipty pierońskie! Jo już dugo tukej niy strzimia, piwa sie musza napić! Po co żech broł hilfa dzisiej, kej nawet piwa kupić sie niy moga?! To je pogwołcenie praw elwra!

Na bina włazi Antek Szyndzielorz.

ANTEK SZYNDZIELORZ:

Panie komisorz, je to prowda, że moja Truda tam je?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Tak mi sie wydowo. Idźcie weg, Szyndzielorz, sam hnet bydzie gorko. Bydom ôfiary… Tukej niy ma placu do cywila.

ANTEK SZYNDZIELORZ:

Poczekejcie, dejcie mi spróbować. Jo pogodom do Trudki. Jo wiym, że ôna niy ma blank zło dzioucha.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Mosz piynć minut. Niyskorzyj bieremy arbajtzamt szturmym.

ANTEK SZYNDZIELORZ:

Trudka, wylyź do mie, prosza cie! Jo wiym, żeś ty niy ma zło dzioucha. Te geny, kere żeś erbła, dyć to jeszcze niy ma wszysko! Trudka, jo ci przaja i byda ci przoł, chobyś niy wiadomo jakim stworokiem bōła.

Trudka Nowok wystawio gowa i filuje na Antka Szyndzielorza. Idzie sie zmiarkować, że sztaunuje eli mo ôstać, eli iść ku niymu.

GRYJTA FURGOCZ:

Trudaaa! Nazod! Dyć wiysz, że ône som wszyskie po jednych piyniōndzach! Nojprzōd bydzie ci piyknie świadczył, a niyskorzyj to nawet tepicha niy wyklupie, w doma ci niy pomoże, kożdy chop to je leber!

KOMISORZ ACHIM HANUSIK *(po cichu do Antka):*

Godej, godej do nij durś! Na jeji matki niy śmiesz patrzeć. Kożdy chop mo taki momynt, że sie wylynko swojij teściowyj, ale yntlich bieresz sie Trudki, a niy stary Furgoczki, pra?

ANTEK SZYNDZIELORZ:

Trudka, niy wierz w to, co ôna godo! Jo ci naprowdy przaja! Byda robotny, ôboczysz. A ô Markowskigo sie ani niy starej. Jo mōm ciotka robić za psychologa, ôna pedziała, że to sie do pochytać. Zrobiemy tak, żeś dostała szmyrgla, wiysz, ôna poświadczy, żeś bōła niepoczytalno. Pódziesz na terapio, a niy do wiynzienio. Dej sie pedzieć, bydymy szczynśliwe, bydymy mieć bajtle, ôboczysz jakie robotne bydom…

TRUDKA NOWOK:

Antek, jo tyż ci przaja!!!

Trudka Nowok leci ku Antkowi Szyndzielorzowi, ciepie sie mu na szyja. Staro Furgoczka chce jōm chycić i leci za niōm, wtenczos komisorz Achim Hanusik jōm chyto i ôblyko jij kajdanki.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Sprawa Gryjty Furgocz i jeji cerów yntlich rozwiōnzano. Eli to richtich bōły prawe połednice, eli ajnfachowe baby, ino koncek nerwowe – tego sie już, wierza, niy dowiemy. Trudka Nowok i Antek Szyndzielorz miyszkajōm wroz, ôn je robotny synek, to poszōł na gruba. Trudka już niy mo żodnych ataków, do roboty niy łazi, bo pedziała, że roztomajte ludzie jōm tam nerwowali. Filoki w doma skrynco. Dwadziścia groszy mo za jednego filoka. Furgoczka i jeji drugo cera sōm durś we wiynziyniu. Strażniki majōm przikozane,

coby niy robić sie żodnyj cigaretpauzy wele połednio, bo to baby fest szteruje, a jak cosik je zeszteruje, to dostowajōm nadludzkij mocy. Jo to miōł tako idyjo, coby je posłać za geszynk do Sejmu we Warszawie, ale inspektor Smolorz pedzieli, co mōm ani ô tym żodnemu niy godać. Jo to wtedy ôwdy ani niy poradza spokopić, ô co jemu sie rozchodzi… No nic. Sprawa zawarto!

JADYMY, DZIOŁSZKO, JADYMY…

Danuta Orenowicz

OSOBY:

UJEK (staruszek)
ZUZANNA
SZYMON – syn Zuzanny

SCENA I

Skromno izba w Domu Seniora. Łóżko, stół, dwa krzesła, w rogu telewizor; za przepierzeniem drugie łóżko i szafa. Na łóżku siedzi drobny staruszek, ponad 80-letni, z siwom czuprynom i o żywym spojrzyniu. Przed nim na krześle kobiyta w średnim wieku, zwrócono w jego strona.

ZUZANNA *(żarliwie):*

I jak ci tu? Jak się tu mosz? Bo jak źle, to wiysz – u mnie zawsze czeko na ciebie izbetka, przytulno i widno. Bydziesz się niezależny. Przypilnujesz łognia w piecu, w kotłowni. Posiedzisz się, popatrzysz na łogród, kaj drzewa przycupniynte pod śniegym. A jo zawczasu uwarza łobiod i jak przydymy z roboty, to go narychtuja. Ze smakym się zjysz. Co, Ujku?

UJEK *(ze zniecierpliwiyniem):*

Niy, ani niy godej. Mój czas Tam już minoł. Teraz żech jest Tu. Mom wszystko.

ZUZANNA *(zmiyszano):*

Niy musisz tu być. Pamiyntej, jak by ci było źle, przydziesz nazod, tym razym do mnie.

UJEK:

Dziołszko, przeca ci godom, mom wszystko. Ino roz człowiek wyjyżdżo z doma, żeby już do niego niy wracać. To jest tyn roz. To niy som wczasy ani bezuch, to jest moje Tu. Stąd już ino na górka.

(ciszej):

A dom zburzyli?

ZUZANNA *(patrzy w łokno):*

Niy, stoi, świyci pustymi łoknami. Patrza na niego, czy dym z komina leci, bo jak leci, to tyś tam jest. Ale dymu niy ma.

ZUZANNA *(podrywo się z krzesła, podchodzi do łokna, godo do siebie):*

I taki mnie jankor chyto za tobom, za wszystkimi: za babkom, co miała wielke rynce, take do roboty, a jak nom było źle, to chalała nos po gowie tymi rynkami i pocieszała: „Dyć niy becz. Po złym nastanie dobre". Za mamom i tatom, ciotkami, ujkami, co już wszyscy po drugi stronie. Za całym moim swiatym, z kerego inoś ty mi zostoł.

UJEK:

Co tam godosz?

ZUZANNA *(ocierając ukradkiem łzy):*

Nic, nic! O, łogród tyż tu mosz! A ptoszki skokajom, śpiywajom, jak u nos!

UJEK:

Aaa, ptoszki, padosz? Skokajom, ale to niy som moje gołymbie.

Piykne były moje gołymbie. Pamiyntosz? Siwe, grochowiate. Zlatywały się do gołymbnika, take mondre, wiedziały, kaj lecieć. Choćbyś je puściła w Gdańsku, one trefiły do chałpy, do mnie. Roz leciały znad kanału La Manche. I patrz – doleciały. Różniste były: jedne lotały ino w słońcu, wielke paniska, a inne małe liliputki skokały to tu, to tam, a jeszcze inne pozyrowały na ciebie, nerwowe take. Wiysz, jak ludzie, jak ludzie…

ZUZANNA:

Przeca pamiyntom. A tyś jak król siedzioł miyndzy nimi i godzinami patrzoł na ich żwawe łepki, świyconce się piórka, jak dreptały, podskakiwały, podfruwały; cały żeś był w tym płyniyńciu czasu z nimi. A potym ci je ukatrupili, bo stawiali nowo chałpa i stary gołymbnik musioł iśc raus – i choćbyś ryczoł, beczoł, to i tak niy uratujesz ptoszków. Bestoż żeś nic niy godoł, ino patrzoł. I było ci żol. I źle.

UJEK:

Niy ma ło czym godać… No to już idź, boś prosto z roboty, głodno na pewno, a jo tu wszystko mom: jeść mi przziniesom, posprzątajom, pomyjom, na telewizor się popatrza, dochtor jest, pogodom z innymi, pogrom w karty. Ino…

ZUZANNA:

Co?

UJEK:

Wiysz, niy ma jak w doma. Ale co jo by tam robił? Przeca dom już bez ogrzywanio, bez wody, z ciekącym dachym i zagrzibiałymi schodami. Niy moga tam być. Niy moga. Idź już, idź.

SCENA II

Pokój, współczesne wnętrze, stół, za stołym 30-letni mężczyzna i jego matka – Zuzanna.

ZUZANNA:

Synku, byłach tam u niego już ze dwa razy. Miyszko z jakimś starym kłonkym, kery nim durch rezkeruje. A on nic niy godo, ino się na wszystko godzi. „O 21 spać" – ja, ja. „Radia niy bydziesz suchoł, bo mi przeszkodzo" – ja, ja. „Tu się nie łotwiyro łokiyn! " – ja, ja. I ze spokojym patrzy, jak tyn się roztopiyrzo! Lepi by mioł u nos.

SZYMON:

Mamo, wiysz, że go niy przekonosz do miyszkanio u nos. To darymne, on jest bardzo przedsia, zawsze był taki. Pamiyntosz, jak umarła babka Agniyszka, jego matka? To był jedyn jedyny roz, że doł się namówić na nocowanie u nos, bo babka leżała na tapczanie w ich izbie, więc jak mioł spać z niyboszczykym w jednym pokoju? On tu niy przidzie.

ZUZANNA *(wzdychając):*

I taki on jest, cały on... Uparciuch.

SZYMON:

Leko niy mioł. Łozprawioł mi kedyś, jak przed wojnom z tej wielki biydy, bo było ich w doma siedmioro, ugryz na sztandzie kołoczek. Pociep go i uciyk, ale choć na chwila poczuł słodycz posypki.

ZUZANNA:

I opiekowoł się całym rodzyństwym. Dziadka wywieźli za Ural w 45 roku, to on pomogoł babce Agniyszce. Chytoł się różnych robót, a mioł tylko 14 lot.

SZYMON:

A jak był już emerytym, mnie odprowadzoł do szkoły, jak szłaś do pracy. I przyprowadzoł nazod. A niy musioł. Przeca to ino brat moi babci. Bawił się zy mnom w piratów i zawsze mioł gorsze role. Niy sprzeciwioł się.

ZUZANNA:

Synku, on i w życiu mioł często te gorsze role…

(z ożywieniem):

Wiysz co? Zabiera go do Ustronia. Na tydziyń. Zawsze wspomino sanatorium pod Równicom, że chciołby tam jeszcze roz pojechać. „Tam było piyknie" – godo. Wezna się urlop i… pojadymy.

SCENA III

Pokój Ujka w Domu Seniora.

ZUZANNA:

No i załatwione. Pojadymy się do Ustronia za dwa tydnie. Jo wezna wolne, a ty i tak wolny jak twoje gołąbki, i jak łone – trefisz nazod do twojego ulubionego miejsca! Tydziyń nom wystarczy. Tam jest i dochtor, i pielyngniarka, i fajniste widoki, a i pora na góry odpowiednio.

UJEK:

Zuzka, niy moga…

ZUZANNA:

Jak to, przeciyż chciołeś łod downa, godołeś: „Tak bych się pojechoł do Ustronia". I aż ci się łoczy świyciły. Patrzyłś przed sia rozmarzony, jakbyś już tam był i wszystko widzioł, nawet wdychoł sosnowy luft, bo piersi to ci się podnosiły, to po leku opadały. I takiś był rozpromieniony, że aż przemiyniony. Ujku!

UJEK:

Zuzka, godom ci, niy moga.

ZUZANNA:

Czymu?!

UJEK:

Bo ło czym byda myśloł? Co planowoł? Jak już tam przijada, to wszystko pryśnie. Niy bydzie żodny tajemnicy, ino to, co zobocza. To co naprowda jest. A jo lubia mieć marzynia, bo wtedy czekom na to, co sie som obmyśla.

ZUZANNA:

No ja…

UJEK:

A te marzynie jest nojfajniejsze, bo znom Ustroń, więc sie moga iść żwawym krokym z Zawodzia do centrum. Niy ida z krykom, o niy!

Wypijom się piwko w barze, a potym po leku nazod. Słoneczko świyci, wiaterek wieje, a jo niy mom ani nadciśniynio, ani alergii, ani chorego kolana. Pozdrowiom mijanych góroli i tak mi jest jak w niebie. I, Zuzka, take piykne marzynie mom się zepsuć?

ZUZANNA:

Ujku, przestoń. Ale chciołeś jechać… obejrzeć!

Chociaż, wiysz, rozumia cie. No to pojadymy się w sobota na rybka do baru U Jana. Niy bydziesz tu wiecznie siedzioł i marzył!

UJEK:

Łobejrzymy, jak się byda czuł. Coś mi się dech traci.

ZUZANNA:

A kaj twój współlokator?

UJEK:

Pojechoł do syna. No to, Zuzka, idź już. Tak zostanymy. Zadzwoń przed sobotom.

ZUZANNA:

Dobra, to na razie, Ujku!

UJEK:

Na razie.

Zuzanna wychodzi.

UJEK *(do siebie):*

Jakby łona wiedziała, że mom jeszcze dwa marzynia. Majom już z 20 lot, som trocha stare, ale jednako ważne: obejrzeć Bawaria i kupić się łogródek z laubom. Ani ji o nich niy godom, bo bych musioł się z niom spierać i eklerować: „Niy ruszej mi ich. Niy załatwiej wycieczki do Niymiec ani niy bier pożyczki na łogród z laubom! Bo się łobraża!”.

(macho rynkom)

A łóna by i tak swoje zrobiła.

SCENA IV

Dom Seniora, późne popołudnie. Szymon i Ujek rozprawiają, siedząc na łóżku.

UJEK:

I zmiynił żeś robota.

SZYMON:

Ja, bliży teraz i ciekawiej. W samym centrum miasta.

UJEK:

A fajni ludzie tam robiom? Porzondni?

SZYMON:

Jeszcze niy wiym. Mało ich znom. Konkurs żech wygroł, to mnie przyjyni, ale jacy som, to niy umia powiedzieć. Jacyś tam som, przekonom się. Wiysz, różnie to jest. Chyba mi się niy zbrzidnie.

UJEK:

Jak jo wyjyżdżoł z dołu i wyłaził z szole, to nikere chopy patrzeli ino w ziemia, nikere szli drap, że kożdego przegonili, a nikere szli po leku, umynczyni i ubabrani. Ale żodyn niy był wesoły i rozmowny. Jo się im przigloodoł i myślołech wtedy, że już ni sjada na dół. Dość miołech tego marasu i tych ludzi – takich jak jo. Ale przerobił żech 25 lot i jak żech odchodził, to mi było żol. Jeszcze żech niy wiedzioł, że to niy miejsce ani ludzie czyniom człowieka szczynśliwym abo niy, ale to on som czyni siebie takim. Som my tym, co momy w gowie i w sercu. Zapamiyntej sie, synku. Bestoż każdy mój dzień jest dobry, bo inny niy może być. Taki jest przez Ponbóczka zaplanowany i na taki się godza.

SZYMON:

Ale Ujku, to niyleko tak myśleć i żyć.

UJEK:

Jo niy jest żodnym filozofym, żeby myśleć!

Tak wyniko z mojego życio. I tak żyja. A jak przidzie ta chudo, to tyż dobrze. Bele pryndko i rzetelnie się zy mnom rozprawiła. To jeszcze ji byda wdziynczny.

SZYMON:

A, na to jeszcze mosz czas!

UJEK *(chichocząc):*

Ani się niy spodziejesz, a już kopyrtniesz, jak tyn Hajna, co to po łożartymu w rzyce tańcowoł, a teraz straszy tam za utopca. Bydzie, co mo być.

SZYMON:

I ty się śmierci niy boisz?

UJEK:

Za stary żech jest, żeby się boć. Jest życie, jest i śmierć.

SZYMON:

I tak to leko godosz…

UJEK *(ze śmiechem):*

Jo mioł całe życie wiara w ludzi i w dobry los. Te druge mi czasym niy wychodziło, ale dostoł żech jeszcze jedyn talent – umia wyboczyć. A jak to wszystko mosz, to i leko godać umisz, i wszyńdzie dobrze się czujesz, i śmierci się niy boisz.

SZYMON:

Wyboczyć…

UJEK:

Ale tam, niy bydymy łosprawiać ło mie. Jak tam wczora grali? Wiysz, Polska – Francja. Jo niy patrzoł, bo coś mi telewizor nawalił. Nasi na pewno przegrali…

SZYMON:

Ja, przegrali, niy wychodzi im.

UJEK:

To fuslapy! Wiysz, poślij mi totolotek. Dobrze by było wygrać trocha piniyndzy…

SZYMON:

A co byś z nimi zrobił?

UJEK:

Tak bych sie pojechał kajsik, kaj mie jeszcze niy było i pooglondoł roztomajte miejsca – i na ludzi bych się napatrzoł, co som jak te moje ptoszki, a potym kupił mało laubka i na lato gołombki naciongnoł…

SZYMON:

Ujku, może się tym razym udo!

Wiysz, musza lecieć. Jutro mocie jechać z mamom na rybka, to wom się szykuje fajny dziyń!

(po chwili):

Aleś mi naopowiadoł i doł do myślynio.

UJEK *(patrzy na zegar):*

Padosz? Już sześć. Leć, pozdrów matka.

SCENA V

Późny wieczór. W izbie Szymon czyto gazeta, Zuzanna pracuje przy stole, pisze - obstawiono książkami. Dzwoni telefon. Odbiyro Zuzanna. Słucho z narastającym niepokojem.

ZUZANNA:

Dobrze, dziękuję, przyjadę.

ZUZANNA *(ze łzami w oczach patrzy na syna, mówi zduszonym głosem):*

Musza jechać do ujka, dzwonili ze szpitala, źle z nim. Zasłob naroz, stracił przytomność. Zadzwonia stamtąd.

SCENA VI

Szpital, Ujek leży na łóżku, ciężko oddycha.

UJEK:

Zuzka, to ty?

ZUZANNA:

Ja, to jo.

UJEK:

Pakuja się, jada... Wiysz kaj, dziołszko?

ZUZANNA *(cicho):*

Kaj, Ujku?

UJEK:

Tam, kaj są niybieske gołymbie i słodke kołoczki, wiela ich chcesz, i same dobre ludzie, dobre chopy i baby. I gałynzie tam som piykne…

ZUZANNA:

Piykne.

UJEK:

Rzyczka się płynie, trowka tako, że aż się chce na ni legnońć, a wiaterek wieje, jakby chcioł załagodzić co złe miyndzy ludziami. W moim łogródku się siedna na ławeczka, a staroszek przidzie i nic niy powiy, ino się tyż siednie. Bydzie pykoł faja, roz po roz spoziyroł na gołymbie – i tak się bydymy siedzieć cały czos, do końca świata.

ZUZANNA *(pochlipując):*

Ja, Ujku.

UJEK *(słabym głosem):*

Ino, Zuzka, niy becz za dużo, bo wroca się i ci narżna.

ZUZANNA:

Niy byda. To… to z Panym Bogym, Ujku.

UJEK:

Z Ponbóczkym, dziołszko, jadymy…

SILEЗЦЫ

Maciej Sojka

ŁOBSADA:

MAJER – komyndant policji we Siymianowicach
PRONOBIS – aspirant na komyndzie
MASZA ALEKSANDROWNA PAWŁOWSKAJA – kejś Maria Pawłowska
ŻYNIA STJEPANOWICZ KUŹNIECOW – kejś Ojgin Kowalski

BINA PIYRSZO

Rok 2014. Lipjec. Hica jak pjeron. Rano, kole dziesiontyj. Komynda Miejsko Policji we Siymianowicach Ślonskich. Poczekalnia. Dyżurka. W łokiynku aspirant Pronobis, zajynty pisaniym raportu. Żynia i Masza, łoba w czornych zonenbrylach, włażom rajn i siodajom naprzeciw njego na plastikowych zicach. S poczontku Pronobis ich niy zauważo, ale po dwóch minutach podnosi gowa snad heftu, łotwiyro lufcik i znudzony łodzywo sie służbowo.

PRONOBIS:

Aspirant Pronobis, w czym mogę pomóc? Dzień dobry.

Żynia i Masza trocha sie peszom, ale w końcu podłażom do łokiynka.

ŻYNIA:

Dobry. My… my by chcieli godać z komyndantym.

PRONOBIS:

Wewnętrzny 1215. Na ścianie przy drzwiach jest telefon.

Poczym zawiyro lufcik i zaś sie biere za pisanie. Masza i Żynia s powrotym siodajom na zicach, niy dzwoniom, ino czekajom. Po piynciu minutach Pronobis podnosi gowa i łotwiyro lufcik.

PRONOBIS:

Jeszcze nikt po państwa nie zszedł?

Żynia niepewnym krokiem podłazi do niego.

ŻYNIA:

Panie, my muszymy sie widzieć z komyndantym. To fest pilne.

PRONOBIS:

To nie dzwoniliście państwo?

Żynia krynci gowom, że niy. Masza tysz.

PRONOBIS:

Proszę chwileczkę poczekać.

Zawiyro lufcik i chyto za suchawka. Wystukuje numer i czeko na zgłoszynie.

PRONOBIS:

Pronobis z dołu, dobry pani Mario, komyndant jesce na łodprawie? … A może mie pani przełonczyć? … Dziynkuja. … Dobry panie komyndancie. Pronobis. … Jakeś ludzie som tukej na dole do pana. … Ja. Chcom wos widzieć i godajom, że to fest pilne. … Ja. Baba z chopym. Łoba w czornych zonenbrylach. Niy wiym, ale godajom po naszymu. … Rozumia.

Łodkłodo suchawka i łotwiyro lufcik.

PRONOBIS:

Proszę państwa dowody tożsamości.

Żynia i Masza dajom mu swoje auswajsy. Łon biere je do rynki, czyto, ale coś mu ciynżko idzie. Paczy na zdjyncia, późnij jesce roz na daty, ale cały czos coś mu niy gro.

PRONOBIS:

Tu się daty nie zgadzają. Dokumenty są nieważne.

ŻYNIA:

Pokoż pan... Som ważne, ino pan niy umi czytać.

PRONOBIS:

No pewnie, że nie potrafię. Państwo z zagranicy?

ŻYNIA:

Niy, z przyszłości.

PRONOBIS:

Skąd?

ŻYNIA:

Z przyszłości. I niy wyjdymy stond, dopóki niy pogodomy z komyndantym.

PRONOBIS:

Proszę chwileczkę poczekać.

Zawiyro lufcik, chyto za suchawka i dzwoni do komyndanta.

PRONOBIS:

Pronobis jesce roz z dołu. Z komyndantym. … Panie komyndancie, te ludzie majom jakieś dziwne papjyry. … I godajom, że som z przyszłości. … Ja.

I siedzom sam już dosyć dugo i niy chcom stond iść. … Uhm, do Darka ja? … Dobra, jus dzwonia.

Wystukuje numer do Darka.

PRONOBIS:

Darek?... Stary poczebuje żadło. Mocie wolne? … Super. I alkomat, i narkotesty jesce. … Niy wiym, jes tukej jakiś chop z babom, łoba w zonenbrylach, siedzom sam w poczekalni i chcom sie widzieć ino ze starym. Papjyry majom niby zagraniczne. … Ja, ale twierdzom, że som z przyszłości. … No, ci godom, te, fajny trip niy? … Dobra, pyrsk.

Łotwiyro lufcik i godo do Żyni i Maszy.

PRONOBIS:

Pan komendant zaraz zejdzie. Proszę o chwilę cierpliwości.

BINA DRUGO

Złazi komyndant. Łotwiyro kartom magnetycznom drzwi i wito sie z Żyniom i Maszom.

KOMYNDANT:

Witam serdecznie. Państwo do mnie?

ŻYNIA:

Ja, my do pana, komyndancie. Muszymy pilnie pogodać.

KOMYNDANT:

To zapraszam do środka. Proszę za mną.

ŻYNIA *(ciongnie Masza za rynka):*

Poć zyś zy mnom. No poć!

BINA CZECIO

Pokój. Żadło. Za żadłym Darek. W środku stół i czi zice, na kerych siedziom: komyndant i wele njego Żynia i Masza.

KOMYNDANT:

I twierdzą państwo, że są z przyszłości?

ŻYNIA:

Ja. Miło mi. Żynia Kuźniecow, wot maja padruga Masza.

MASZA *(podaje rynka):*

Ocień prijatna.

KOMYNDANT *(paczy podejrzanie):*

Majer. Komenda Miejska Policji w Siemianowicach. O co chodzi?

ŻYNIA:

Komyndancie. Niy służbowo. Wjymy, że godocie po naszymu.

KOMYNDANT:

Dobra. Co wos sprowadzo?

ŻYNIA:

Komyndancie, przybywomy z przyszłości. Z 2020 roku, i chcymy wom coś ważnego pedzieć.

KOMYNDANT:

Nojprzód ściongejcie te zonenbryle. Musza wasze ślypia łobocyć. Źrynice.

Ściongajom.

Komyndant nachylo sie bez blat stołu i paczy.

KOMYNDANT:

I godocie, że z przyszłości, ja?

ŻYNIA:

Ja.

KOMYNDANT *(kiwie rynkom na Darka, kery stoi za żadłym):*

Darek, poć sam ino z tym alkomatym. Sprawdzymy, z jakego wymiaru som ci państwo.

Włazi Darek z alkomatym. Podaje rura komyndantowi i sztaluje coś na cyferbalcie.

KOMYNDANT:

Poradzicie z całyj pary chuchnonć do ruły panie Żynia?

ŻYNIA:

Ja. Dowejcie.

Żynia dmucho. Wybijo mu 1,2 promila. Masza tysz dmucho. Wybijo jej 0,98 promila.

KOMYNDANT:

To z takij żeście som przyszłości. Jusz wszysko rozumia.

ŻYNIA:

Ale panie komyndancie! My sie ino po piwie szczelili skuli hicy. No... może po dwa. Na smak. Tyske, take dobre. Downo my jusz niy pili. U nos same, pjeronie, baltki, a łone smakujom jak scyny.

KOMYNDANT:

Darek, bier ich na dołek. Na cztyry łoziem. Ta hica im w gowach pomotlała. Bydom mie robić za gupka, lajduchy z kosmosu, pjeronie. Wiców sie zachciywo.

BINA CZWORTO

Dwadziścia godzin późnij. Pokój z żadłym.
Komyndant siedzi przy stoliku i dzwoni do Darka.

KOMYNDANT:

Stary godo. Dowej tych kosmitów na żadło.

Po piynciu minutach siodajom wele komyndanta. Ale som coś nerwowi.

ŻYNIA:

Już wom nerwy zlazły?

KOMYNDANT:

A co myśleliście, że mie bydziecie za gupka robić?

ŻYNIA:

Za gupka? My ino chcemy wom coś pedzieć.

Włazi Mariusz z papjyrami do podpisu. Daje je łojcu na stół i czeko.
Żynia i Masza jak go widzom, to wstajom i spuszczajom gowy w pokłonie.

KOMYNDANT:

Widzisz, to som te ludzie z przyszłości abo innego kosmosu. Już cało komynda ło nich godo. Kłoniajom ci się, synek. Pjeronie, nażarli sie jakiś pili i wynokfiajom.

Mariusz paczy na nich, biere papjyry i wyłazi.

KOMYNDANT:

Co wy sie kłaniocie mojymu synkowi?

ŻYNIA:

Ja. To wjelki czowiek.

KOMYNDANT:

Wjelki to łon może jes, meter dziwyndziesiont, ale to leber. Jo mu ta robota pochytoł, bo łon się, pjeronie, nie umioł mjejsca na świecie znolyź. Zresztom terozki tyż som na njego skargi. Ino imprezy, biby i spać cołko niedziela potrafi.

ŻYNIA:

Dejcie mu pokój. Musi sie wyszaleć. Normalne.

KOMYNDANT:

Dobra. O co wom łazi? Co wy łody mie chcecie?

ŻYNIA:

Chcymy pana łostrzec.

KOMYNDANT:

Przed czim?

ŻYNIA:

Żeby pan uważoł na syna.

KOMYNDANT:

Mom uważać na syna? Po jakiymu?

ŻYNIA:

W 2020 roku łon bydzie wjelkim czowiekiem.

KOMYNDANT:

Jeronie, ta bania wom chyba jesce nie zlazła. Zaroz wos wciepna spowrotym na dołek, to bydziecie mjeć do myślenia.

ŻYNIA:

Panie Majer, nawet pan niy wje, fto sie sam na Ślonsk szykuje.

KOMYNDANT:

Fto sie szykuje?

ŻYNIA:

Wowa.

KOMYNDANT:

Jako Wowa?

ŻYNIA:

Wowa sam przydzie.

KOMYNDANT:

Te, co wyście kurzyli? Dopalacze? Tripy wciepowaliście?

ŻYNIA:

W 2020 roku Ślonska jus niy bydzie.

KOMYNDANT *(śmieje się):*

A co bydzie?

ŻYNIA:

Noworosja.

KOMYNDANT:

Jako Noworosja? Rusy?

ŻYNIA:

Ja. Wreszcie żeście pochytali, o co nom łazi.

KOMYNDANT:

Niy wjerza.

ŻYNIA:

Telewizora niy łoglondocie? Wowa mo taki plan, łon chce łodzyskać wszyjskie ziemie, kere mioł w ZSRR.

KOMYNDANT:

I co, udo mu sie?

ŻYNIA:

Badnijcie sie na mój auswajs. Widzicie cyrylica? Badnijcie sie na miasto, z kerego my som.

KOMYNDANT:

No widza. *(skłodo litery)* W… ł… a…d… i…

ŻYNIA:

Władimirgród. Katowice po naszymu.

KOMYNDANT:

Niy wjerza. Przeca kejś Katowice sie nazywały Stalinogród, ale to boło sześćdziesiont lot tymu. I co, za niedugo zaś bydom sie nazywać po rusku?

ŻYNIA:

Ja. Na cześć Wowy.

KOMYNDANT:

I co? Sam Rusy bydom? W całyj Polsce, na całym Ślonsku?

ŻYNIA:

Ja. Wiynkszość miast bydzie miała ruskie nazwy. Na przykład:
Bytom sie bydzie nazywoł Dimitrow. Łod prawyj rynki Wowy. A nasze ukochane Beskidy – Władibeskid.

KOMYNDANT:

Co wy godocie? A Warszawa?

ŻYNIA:

Panie Majer, a co wos Warszawa łobchodzi? Nich sie łona nazywo jak chce.

KOMYNDANT:

Mocie recht. Gorole sie nami nigdy niy przejmowali. I bydymy gawarit pa ruski?

ŻYNIA:

Ja. Łobejrzycie. W urzyndach ino po rusku sie dogodocie, dzieciom we szkołach kożom czytać bukwar, a w heftach szkryftać ino cyrylicom. Poloki niy

bydom mieć lekko. Ruskie ich mianujom „Pszeki", skuli tego, że w polskij godce jes dużo „psz" i „sz".

KOMYNDANT:

A co ze Ślonzokami?

ŻYNIA:

Tyn, fto sie przyzno, że jes Ślonzokiym, a niy Polokiym, dostanie pod skóra czip. Ruskie bydom go mianować – Siljezjec. O, my takie czipy momy sam wrażone. *(pokazuje na kark)* Terozki przi byle jakij kontroli skanujom nos i jus wszysko wjedzom. Z takimi czipami za bele co sie idzie dostać do kolonii karnyj na daleko Północ.

KOMYNDANT:

A to czymu Rusy tak Ślonzoków niy bydom lubić?

ŻYNIA:

No właśnie. To chcymy panu pedzieć, panie Majer.

KOMYNDANT:

No ale my som w NATO. W Eurolandzie. Za nami Gela pódzie.

ŻYNIA:

Gela? Łona nom zadek pokoże, jak ino Wowa ruszy na NRD. Zresztom łona nigdy za nami niy przepadała. Panie Majer, mocie świadomość, że Polska jes wycieraczkom we drzwiach Wschód – Zachód?

KOMYNDANT:

Tak żech nigdy niy myśloł.

ŻYNIA:

To sie pomyślcie. W Polsce Ślonzoków majom za Niymców. Myślom, że my, pjeronie, chcymy sie przyłonczyć do Geli. A prowda jest tako, że nawet jakby my chcieli, to łona nos niy chce, bo łona sie ledwo poradziła z przyłonczyniym NRD.

KOMYNDANT:

Jo wom niy wjerza. Wy mie za bozna robicie. Z przyszłości, pjeronie, przylecieli. Kosmity pieprzone.

ŻYNIA:

Badnijcie sie na Masza. Poznajecie?

KOMYNDANT:

Niy.

ŻYNIA:

Maszeńka, popraw priciosku. Uwieri wsje wałosy z lewago pleca i dobraw niemnogo na prawoje. *(godo do komendanta)* Terozki poznajecie?

KOMYNDANT:

No, coś choby podobno.

MASZA:

Ja srazu was uznała komendantie Majer. Eta ja. Maria, wasza sekretarsza.

ŻYNIA:

I co, wierzycie? To waszo sekretarka Maria, ta samo, kero siedzi na górze, ino sześć lot starszo.

KOMYNDANT:

To czymu po naszymu niy godo?

ŻYNIA:

Bo jom Ruskie na ślonskij godce łapli i wmawiali ij, że kolaboruje przeciw Wowie. Miała już na kolonia jechać, pod Murmańsk, ale niy wywjeźli ij z braku dowodów. Terozki sie boi i godo ino po rusku. Jo jus tys mioł jedyn proces. Za kolaboracja. Chcieli mie do Workuty wysłać, za krong polarny, do kopalnie, bo żech jes szachtier po profesji, ale na szczynście niy udowodnili mi nic… Godom wom, przerypane jes być Siljezcym. Ruskie nos represjonujom. Strach jes pjeronowy. Gorzij jak za komuny. Ale jo sie niy boja godać i łobojyntnie kaj żech jes, pszaja ślonskij godce.

KOMYNDANT:

Te, to jest jakiś sajens fikszyn. Jo w to niy wierza. Czymu Ruskie tak niy lubiom Ślonzoków?

ŻYNIA:

Skuli pana syna.

KOMYNDANT:

Skuli Mariuszka? Tego lebra, co sie szczewików niy umi zawionzać?

ŻYNIA:

Ja. Tak jak my już godali wcześnij. Mariusz to wjelki czowiek bydzie. Pokieruje nami.

KOMYNDANT:

Łon? Łon ledwo autym jeździ.

ŻYNIA:

Łon nos bydzie prowadzioł.

KOMYNDANT:

To raczyj jego prowadzom w niedziala rano z dyski.

ŻYNIA:

Mariusz bydzie przywódcom czwortego powstania ślonskiego w 2020 roku.

KOMYNDANT:

Po jakiymu?

ŻYNIA:

Jak Wowa zajmie cało Polska i bydymy należeć do Noworosji, na Ślonsku ludzie sie zbuntujom. A wiadomo, że my, Ślonzoki, somy dumne i bitne, i sie tak łatwo nie domy. Czyma powstaniami my to udowodnili, pra?

KOMYNDANT:

Toć.

ŻYNIA:

I bydymy walczyć ło swoja ziymia, ło swoja historia i ło swoja godka. Partyzantka.

KOMYNDANT:

I po to żeście przyszli, żeby mi to pedzieć?

ŻYNIA:

Przyszli my panu pedzieć, panie Majer, że Mariusz jest w niybezpieczeństwie.

KOMYNDANT:

Po jakiymu?

ŻYNIA:

Łoprócz nos z przyszłości przybyło sam dwóch ruskich ubijców, kerzy go szukajom i chcom go zlikwidować, bo łon jest realnym zagrożeniem dla Noworosji.

KOMYNDANT:

To jes jakiś film, pjeronie. Fantastyka. A jak te zielone ludziki i wy żeście sie sam znoleźli? Fligrym przylecieliście? UFO? Abo mocie jakiś teleport, wehikuł, łoko Moskwy, pjeronie?

ŻYNIA:

Panie Majer, Ruskie majom take gadżety, o kerych Amerykonom sie niy śniło. Te wszyskie sprzynty som robione w zamkniyntych mjastach, kerych niy znojdziecie na mapach świata. Ło tych mjejscach sie nigdy gośno niy godało. Naszo powstańczo komanda przejeła tako jedna technologia i tak my sie sam znaleźli.

KOMYNDANT:

To co jo mom terozki robić?

ŻYNIA:

Przypominejcie sie ruski.

Dzwoni telefon. Komyndant podnosi suchawka.

KOMYNDANT:

Ja? … Ja, pani Mario. … Do mie? … Co, audit z wojewódzkij? … A wiela ich jes? … Dwóch? ... Cholera, jus ida.

Łodkłodo suchawka na widełki.

KOMYNDANT:

Czekejcie, zaroz sam przida.

Komyndant wyłazi gibko do swojego gabinetu.

BINA PIONTO

Czi kwadranse późnij na żadło włazi komyndant.
Jes cały furt. Rynce mu sie czynsom, pot ścieko z czoła,
cołki jes w hercklekocie. Żynia i Masza dalij siedzom przy stole.

ŻYNIA:

Co to sie stało panie Majer?

KOMYNDANT *(zmartwiony):*

Pytali ło Mariuszka… Kaj miyszko, czym sie interesuje, kaj łazi po nocach, jakich mo kolegow.

ŻYNIA:

Może z wewnytrznygo wom robiom jakoś kontrola?

KOMYNDANT:

A kaj tam, to bych ich zaroz poznoł… Łoni mieli taki jakiś dziwny, pjeronie, akcynt i te mundury jakby niykompletne. Jedyn boł z pagonami, drugi bez. Paczeli sie na mie, jakby mie znali na wylot. A jak to byli, pjeronie, no… te ubijcy?

ŻYNIA *(śmieje się):*

Ja, kosmity pjeprzone.

KOMYNDANT:

Co sie śmiejecie. Jo godom poważnie.

ŻYNIA:

A my poważnie panu godomy, że wyłażymy, bo jus czas na nos.

KOMYNDANT:

Chwila, co jo mom teroz robić?

ŻYNIA:

Sami wiycie nojlepij. Przeca gliniorzym żeście som, pra?

Żynia i Masza wstajom i wyłażom.

Komyndant siedzi przy stoliku i ciynżko dycho.

SZTAMA

Grzegorz Sztoler

Jak je Szlonzôk i Kaszëba, to je sztama

I.

Ulica Wielgomorsko, czyli Bałtycko, w Jastarni.
Idom i sie wadzom Truda i Pyjter U. z Katowic.

PYJTER:

Truda, tukyj sam nima naszych... A downi, jeszcze za Jaruzela, to somsiad na somsiedzie boł.

TRUDA:

I dobrze stary, dyć se dychniesz łod tych ludzisków.

PYJTER:

Truda, podziwej sie, dyć tu same gorole, warszawioki jadom...

TRUDA:

Pyjter, kciołeś tu przyjechać. Nasze somsiady pojechały grzoć rzicie do Albanii.

PYJTER:

W życiu bych tam do tego dziadostwa sie nie cis.

TRUDA:

Przijadom, łoboczom... Stary Mocoń łuparty je jak pieron i nie kcioł Maryjki słuchać. Pedzioł, że do Chorwacji fligrem nie poleci. Niy żeby sie boł. Ale za drogo, padoł. No toż zamiast trzech godzin, pojadom trzydzieści...

PYJTER:

Żol mi chopa, nogów nie rozprostuje.

TRUDA:

Byleby ich nie wyciongnoł, łonymu już ósmy krzyżyk idzie.

PYJTER:

Tyn bimber to mu rychtyk dobrze robi.

TRUDA:

Tobie tysz.

PYJTER:

Łon by tego wszytkigo nie wycyckoł.

TRUDA:

Ale s tobom doł rada.

PYJTER:

Zmierzło żeś je. Dyć broł nasza woda, że niby lepszo...

TRUDA:

A ty bieresz ta łognisto i miyszosz, miyszosz. To jakiś miod doprawiosz do tej gorzoły, jakiś pigwy. Abo insze cosik.

PYJTER:

Jo to wypija, a ty sie tym szmarujesz. Cheba ci, Truda, rychtyk tyn etanol coś sztrajchnoł.

TRUDA:

Ty sie zy mnom nie wodź, bo sie na nos te gorole dziwajom.

PYJTER:

A niech mie charnom. Mom ich kaś...

Przechodzom koło okiynka, w kierym siedzi Baba.

BABA:

Może państwo rybkę by kupili?

PYJTER:

Rychtyk, przydo sie.

BABA:

Jeronie, wyście ze Ślonska...

PYJTER:

A co w tym takigo?

BABA:

Panie, co my tu z tom warszawkom momy... Panie... Chamy takie... Ni mogem głośno godać, bo z nich żyjymy... Ale momy doś.

PYJTER:

My ich też momy rychtyk doś.

TRUDA:

Do pani wyngorza.

BABA:

Dom, chłop go wyndził dzisioj. Dom i drugigo – za darmo. Jeronie, powiydzcie, czymu wos, Ślonzoków, tak mało tu przyjyżdżo?

PYJTER:

Ja, bo kopalnie plajtły, i to skuli Warszawy. Ruski wyngiel, pieronie, sprowadzajom, żeby nos załorać.

TRUDA:

Pyjter, dyć to nasi rzondzom w tych kopalniach... Pani *(do Baby),* to sie już skończyło, wszytki nasze somsiady na połednie gnajom. Lepsze drogi, blank czysty luft, fajniste plaże, a ta woda...

PYJTER:

Jacy nasi? Gorole rzondzom, Zagłymbioki, krojcoki tysz. A ty durny hanysie żeś je jak koń, ino ci dokłodajom – a ciongnij ta fura. Jak uciongniesz, to ci jeszcze dołożom. Ino dobrymu koniowi sie dokłodo, Truda.

BABA:

Mocie recht, panoczku. Zawinąć wom ta ryba?

TRUDA:

Łostowcie, możne ino w tyn papior, styknie.

BABA:

A nie szukocie tak państwo jaki kwatyry? Łu nos by sie co znodło.

PYJTER:

Truda, jo sie nie śpiychom.

Truda ino wzdycho.

II.

Przy stole siedzom Truda i Pyjter, kiery glyndzi z rybokem Andrzejem. Irena przynosi wyndzone dorsze.

ANDRZEJ:

Toż synek padosz, żeś z Katowic, pra?

PYJTER:

Z samiuśkich.

ANDRZEJ:

Czornych, zadymionych...

PYJTER:

A cóż to padosz chopie. Downoś cheba łu nos, na Ślonsku, nie boł.

ANDRZEJ:

No, pamiyntom tako gruba kole takigo łokrongloka jak... te... UFO.

PYJTER:

Ja, tej gruby już downo nima, teroski łotwarli tam rychtyk gryfno filharmonio. Nawet w warszawce takij ni majom. Łona je kole tego Spodka.

ANDRZEJ:

No, prowda, Spodek, pamiyntom. Tuż padosz, że tam kaj była ta staro gruba teraz bydom grać?

PYJTER:

Niy ino. Za niedługo łotworzom też muzeum, łono je pod ziymiom, że ci, co tam przidom, bydom jak te grubiorze, ale zamiast wongla bydom kultura fedrować. A na wiyrchu som ino taki szklane budowle.

ANDRZEJ:

Dziwej sie Iryna, jak sie te Katowice pomiyniły.

PYJTER:

Bydzie piyknie i zielono. Kole tyj filharmonii, kaj downi były hałdy, hasioki, teraz som fontanny, drzewka... Ludziska tam łażom z dzieckami na szpacyry se dychnąć...

ANDRZEJ:

A my tu w Jastarni momy wykopki. Robiom kanalizacjo...

PYJTER:

Andrzej, żeby było piyknie, musi trocha boleć. Czy ty chopie myślisz, że łu nos Rawa wonio? No, jeszcze niy wonio, ale za niedługo, fto wiy...

ANDRZEJ:

A ty kaj robisz?

PYJTER:

We magistracie.

ANDRZEJ:

To tyś je pieronie ważny...

PYJTER:

Jak by ci to wyoślić... No, możne je żech ważny, ale jo to robia dlo innych.

ANDRZEJ:

To mi sie podobo. Kcesz piwa?

PYJTER:

Jo?

ANDRZEJ:

Toż mosz.

IRYNA, Kaszubka:

Jo to po naszymu „tak", czyli po waszymu „ja".

PYJTER:

No widzisz, dobrzech trefił. Bo widzisz, Iryna, kupiłech taki wasz ślabikorz. Bo wyście som w tych sprawach do przodku barżij łod nos, Ślonzoków.

Pyjter wyciongo kniga „Twój pierszi słowôrz".

ANDRZEJ *(literuje):*

„Słowôrz kaszëbskò-pòlsczi". Cóż to je?

PYJTER:

Ty mi powiydz.

ANDRZEJ:

Zebrało sie pora mondroków i zrobiło alfabet, a potym mowa se srobili.

TRUDA:

No toż ta wasza godka nie zginie. Patrz, Pyjter, ło wiela łoni som do przodku. Z tego ślabikorza dziecka sie łuczom czytać.

ANDRZEJ:

Ale to nima moja kaszëbskò godka. My tukyj inacy prawiymy. Inacy tysz godajom w Kuźnicy.

IRYNA:

Co wieś, inno pieśń, jak to dycko padali.

ANDRZEJ:

Jo sie ino nerwuja, jak widza tyś słowôrz, bo to nie je moja godka. Wymyśliły to jakiś mondroki i tego łuczom w szkołach moji wnuki. Ale moji łojce inacy prawili.

IRYNA:

Pyjter, łoni wziyni ino jedna tako gwara, a tych je łu nos pełno.

TRUDA:

Łu nos też inacy godajom u Cidrów, inacy kole Pszczyny, a na Cieszyńskim jeszcze inacy. I z tego tysz chcom zrobić jedna godka.

ANDRZEJ:

Ale to się, pieronie, nie do!

PYJTER:

Ale idzie ło to, by sie nasze dziecka łuczyły, genał jak łu wos, swoji godki i łobyczajów.

ANDRZEJ:

Ino że jak wdepnom ci to tego te wszytki mondroki, te profesory, te specjalisty, to zrobiom stego wielko polityka… Jo ci powia uczciwie, jo tego nie umia przeczytać.

PYJTER:

Tela tu mocie tych ptoszków, daszków, szlaczków, kropków nad tymi literami, wiyncyj niż w czeskim. Jak to czytać?

ANDRZEJ:

Mie sie nie pytej, jo ino umia wyndzić ryby. Łowić już nie łowia, bo Unia kozała nom pozamykać kutry. I robić jakiś grupy producyncki. Ale naprzód musisz dudków sypnonć… A na cóz mie, starymu chopu, tako poniywiyrka?

PYJTER:

Dobra, jo cie byda pytoł. Coż to je karwa?

IRYNA:

Łatwe, krowa. Karwia to też miejscowość na Kaszubach, znaczy że krowy tam wyposali.

PYJTER:

A tu mocie taki fajne powiedzyni:

„Ò swiãtim Filëpie karwa ju trôwã sczipie".

Czyli: „Po świyntym Filipie krowa już trowa szczypie".

ANDRZEJ:

Pyjter, spomniołech se kawał, wic – powiym ci go po naszymu, kaszubsku. Ciekawe, czy bydziesz wiedział ło co idzie. „Warszawiôk, Szlązôk i Kaszëba jachelë na wczasë do Egiptu" …

PYJTER:

Ha, jakbych słyszoł swojigo somsiada. Mosz recht, Andrzej, teroski wszyscy ino na połedni jadom.

ANDRZEJ:

Taki czasy, każdy rzić chce grzoć w słońcu. Słuchej dali. „Òbczas rézë nalezlë zbón z jaczégò ùwòlnilë dżina".

PYJTER:

Truda, hilfe, traca się.

ANDRZEJ:

Poczkej. Teroz dżin. „Wa mie wëpùsca, tej zjisca wam pò jedny żëczbie" – rzekł duch.

PYJTER:

Że niby…

TRUDA:

Znosz bajka o złotej rybce? Pamiyntosz, miała spełnić trzi życzynia…

PYJTER:

Ahaaaaaaaa…

ANDRZEJ:

Kaszëba rzeknął:

„Jô chcã, żebë kòl nos wiedno bëło bëlné wiodro, swiéżi lëft i czëstô wòda, cobë letnicë chãtno do nas przëjéżdżelë i òstôwielë swòje dëtczi".

TRUDA:

No… by letniki łostawiły tu swoi dutki… Jak w Zakopanym górolom. Tyla żech kapnyła.

PYJTER:

Czysto woda, świyży luft… No luft to luft, całkim jak łu nos.

ANDRZEJ:

I dżin pedzioł po kaszubsku:

„Twòja wòlô – zjisconé! ". A teraz bydzie nojlepsze. Warszawiôk do dżina:

„Môsz mie wëbùdowac wkół mòji stolëcy wësoczi, wiôldżi mùr, żebë jem nie mùszôł wżerać na resztã negò zacopónégò kraju i cobë mie żódny wszónowie tu nie jezdzëlë".

PYJTER:

Pierzyński antek warszawski bydzie tu łod wszow ludzi wyzywoł.

TRUDA:

Dej pokój, dyć to ino wic, nie nerwuj się.

ANDRZEJ:

Ja, Pyjter, pełno tych wszów łu nos, boście przestali tu jeździć. Tuż jeździ warszawka. A łono majom dutki. Ale słuchejcie dali. „Gôdôsz môsz – rzekł dżin. – A terô të, Szlązôkù".

PYJTER:

Jo wiym, co jo bych srobił, jo wiym…

TRUDA:

Nie nerwuj się, chopie.

IRYNA:

Weźse jeszcze jedno piwo, Pyjter, tutyjsze. Amber, lejom go w Gdańsku.

ANDRZEJ:

Toż Szlązôk prawi dżinowi:
„Weź mie – rzeczë – co wicy ò tim mùrze”.
Dżin:
„Në wësoczi, grëbi, całé miasto je bënë. Nawetka mësz nie przeléze”.
Szlązôk:
„Dobrze. Naléj wòdë do fùl”.

Wszyscy sie śmiejom, najbarżi chichro sie Pyjter, aż tak, że mu bonclok sie ruszo, chce coś pedzieć, ale ni mo siły.

PYJTER:

Jeronie, ale żech sie sfuczoł… Wiysz Andrzej, jo to znom z innej wersji, zamiast stolicy zalony je Sosnowiec. Chocioż nimoga fest przezywać, bo moja ślubno je z Aldrajchu.

TRUDA:

Pyjter, bydziesz mi to do końca żywota wypominoł?

PYJTER:

Dzióbeczku, farorz mi pedzioł, że to je uczynek miłosierdzio… Chorych trzeba nawiedzać, a grzeszników nawracać, pra?

TRUDA:

Bydziesz dzisioj mioł wielki post.

ANDRZEJ:

Wielkanoc i tak musi prziś.

III.

Pożegnani. Truda z Pyjtrem trocha sie zasiedzieli i gibko sie zbiyrajom.

ANDRZEJ:

A jakby wom brakło ryb, to uwyndzymy.

TRUDA:

Ale to nie opłaco taki kawał jechać poto.

IRYNA:

Kurier wom je przywiezie. Jednego dnia uwyndzymy, a na drugi wom przywiezie. Tu mocie wizytówka.

PYJTER:

A jo ci, Andrzej, dowom tako szykowno kniga o Katowicach, ło tych blank starych i tych blank nowych, żebyś se móg przypomnieć… Naprowda je łu nos piyknie, fajniście. Przyjedź, nie zmażesz se koszuli, luft je czysty.

ANDRZEJ:

Pyjter, dziynkuja ci piyknie za geszynki.

Żegnajom sie, Pyjter odpalo tiguana i z Trudom odjyżdżajom.

ANDRZEJ do IRYNY:

Te, podziwej sie ino…

IRYNA:

Kaj?

ANDRZEJ:

No do tej knigi, co mi Pyjter doł!

IRYNA:

Jesus Mario!

ANDRZEJ:

No, mi sie też zdowało, że tyn łysawy chop na okładce je genał podany do naszego Pyjtera. Tu piszom, że łon je aże prezydent.

IRYNA:

I dyć łon godoł, że robi w magistracie…

ANDRZEJ:

Że robił, czy nie robił. Prezydent, abo i niy… Terozki to łon już bydzie emeryt. Bydzie dychoł i bawił wnuki, jak jo.

TABULE Z KATOWIC

Krystian Węgrzynek

BINA 1.

Mistrz (w kapeluszu) i Adept siedzą nad Rawą w Katowicach, w okolicach ulicy Teatralnej. Przed świtem. Mistrz spogląda w niebo, chodzi, mierzy, medytuje. Adept drzemie. W ziemi saperka.

MISTRZ:

Nie śpij, synek, nie śpij, bo prześpisz swoja godzina.

ADEPT:

Nie śpia, Mistrzu, ino leża z zawartymi oczami.

MISTRZ:

Poradzisz zoboczyć z zawartymi łoczami? Taki z ciebie macher!

ADEPT:

Mistrzu, jeszcze tak cołkiem nie poradza, ale gibko się przy wos ucza… A som żeście hunderpercentliś zicher, że to dzisioj przyjdzie?

MISTRZ:

Ja, trzeci promień Nottebohma pado dzisiej gynau przez Warszawsko na rynek.

ADEPT:

A powiecie mi, po jakiemu siedzimy sam nad rzykom, a nie dejmy na to na rynku?

MISTRZ:

To jest, synek, wielgo tajemnica.

ADEPT:

A chcecie jom, Mistrzu, wziońć do grobu, ja?

MISTRZ:

Zapamientej się, synek – Panta rhei! Wszystko płynie, i do ciebie przypłynie, ino jak przyjdzie na to pora, musisz to mieć czym chycić.

ADEPT:

Poszukom w doma taki kapelusz. A o keryj godzinie to przypłynie?

MISTRZ *(milczy chwilę, patrzy w niebo):*

Genau – teroz. Nottebohm, jak wytyczoł nom tukejszy axis mundi, zrobioł sam wielgi astralny zygor.

ADEPT:

Kaj? Sam? W tym bajzlu?

MISTRZ:

Na rynku, synku. Ulice wyłajżom z samego środka ringu, chobyś wbił w niego cirkel, rozchodzom się choby promienie gwiazdy na, tfu, Armii Czerwonyj, Warszawsko, Wieczorka, 15 Grudnia, Pocztowo, 3 Maja, Mickiewicza. Słońce na końcu tych promieniów wschodzi abo zachodzi w dniach przesilenio. Błysk na początek abo koniec dnia – misterno konstrukcyjo!

ADEPT:

Nie jest to aby cufal?

MISTRZ:

Synek, wybierej: abo cufal, abo jo.

ADEPT:

Jo ino tak naskwol powiedzioł. Tyn Nottebohm to boł jakiś magus? Astrologus?

MISTRZ:

No ja… Boł mistrzem Loge zum Licht am Osten, kerom kerowoł ojciec miasta – Holtze.

ADEPT:

Światło na Wschodzie? Frajmaurery sam zaczli swój Aufklarung?

MISTRZ:

Genau. Był tu jeszcze wcześnij nie fto inny, a som Goethe, kery mioł frajmaurerskie wtajemniczenie przedostatnigo stopnia i jak sam stanoł ło wschodzie słońca i łobejrzoł sie w ta strona, co my teraz som, mo sie rozumieć, nie było sam tych chałpów i teatrów, pedzioł te słynne słowa; „Mehr Licht!".

ADEPT:

Jo żech słyszoł, że to godoł w Weimarze, jak umieroł.

MISTRZ:

Wtedy to ino powtórzył. I to nie znaczyło, że mo ćma w oczach, ino że czeko na nojwyssze oświecenie, trzydziesty trzeci stopień, jaki się noleży Rytowi Szkockimu Downo Uznanemu.

ADEPT:

I bez to tyn Szkot, John Baildon, wiedzioł, kaj szukać noszych czornych skarbów?

MISTRZ:

Widza, synek, że nadosz sie na mojego szkolorza…Ale czekej. Łone się wszystkie skumały w loży „Silberfels" w Tarnowskich Górach i genau, tukej, wyznaczyli nowo loża.

ADEPT:

Zaroz! To w tyj kamienicy jest masońsko loża?

MISTRZ:

Była, synek, była.

ADEPT:

A my by sam kopali z liniom światła…

MISTRZ:

Ty bydziesz kopać, synek, od tego cie tu mom.

ADEPT:

Bardzo wos poważom, Mistrzu, ale nic z tego nie bydzie.

MISTRZ:

Co ty godosz? Jak jo zaroz dokopia…

ADEPT:

Zwożcie ino na te chmurska, nie na moja godka.

MISTRZ:

Tyż prowda… Jo wiem jedno, jak my dzisiej, kiedy jest taki elegancki Astrologiczny Krziż, nie znojdymy tyj tabuli, to my jei nigdy nie znojdymy.

ADEPT:

Tabuli? Chyba nie chcecie pedzieć, że sam, tukej, w Stalino… tfu, w Katowicach frajmaurery zakopali Tabula Smaragdina?!

MISTRZ:

Nie drzyj sie tak, bo zaroz bydziesz mioł drugo bitwa pod Stalinogrodem i też jei nie wygrosz.

ADEPT:

Mojigo sąsiada za to zamkli.

MISTRZ:

To się pomyśl, że skuli złota, kerym je trzymanie gamby na kłódka, mogymy dojść do tabuli, kero jest szmaragdowo.

ADEPT:

…?

MISTRZ:

Czytołżech list Sachsa do Hoffmana, to były wielgie mistrze tyj loży po Richacie Holtze. W tym liście nadmieniajom, jak Baildon powtarzoł: „Tabula is hidden in the House of the Rising Sun".

ADEPT:

A… jo żech słyszoł, że tyn haus to jest konsek dalij – na Mariackij.

MISTRZ:

Nie godej bele czego – tu sie rozchodzi o Tabula Smaragdina samego Trismegistosa.

ADEPT:

Istno tabula sam? Kaj wszystko na czerwono przełonaczajom?

MISTRZ:

Widzisz, synek, a najbardzi rozchodzi sie ło te czerwone. Jak Bracht stond uciekoł – Januar funfundvierzig, mo się rozumieć – wywozioł wielgie pakungi do roztomajtych skrytków. Kupa tego pojechała do Ligoty, do służebniczek, kaj mieli taki srogi schron, ale jedyn boł i na banhowie w Katowicach – tam coś wywieźli te frajmaurery. Widzieli to ludzie, co sam mieszkali.

ADEPT:

Słyszoł żech, że pod banhowem wyszykowali cołkie podziemne miasto.

MISTRZ:

Ale… Tam akurat Rus dokumentnie wszystko wyszukoł. Ino że jak szli na Berlin, to połostawiali jakieś pakungi tukej, a potem mieli po nie być nazod. I terozki momy sztyry możliwości: abo udało sie to esmanom wywieźć, abo tabula została sam, kaj to nom wskoże promień Nottebohma, abo wzieli jom Rusy do sia, abo łostawili na banhowie.

ADEPT:

Możno Rus nie wiedzioł, co mo?

MISTRZ:

I jak gelendra tyj nadziei bydymy sie trzymać.

Krótki błysk wschodzącego słońca.

ADEPT:

Mistrzu, jedyn Augenblick, ale tam w krzokach coś mi błysło.

MISTRZ:

Helijosie, weź mie nie nerwuj, pokoż się dzisioj, jak mosz tako elegancko konfiguracjo.

ADEPT:

Czorno to widza na wierchu, bez to moga na tyn zol wejrzeć?

MISTRZ:

A idź. Coś mi się widzi, panie Holtze, co zaś nie bydzie światła am Osten. Ale godo Trismegistos: w dzień wielkiego przesilenio spadnie, co mo spaść, ostanie, co ostać musi.

ADEPT:

Mistrzu, flaszka! Promień Nottebohma wskazoł flaszka.

MISTRZ:

Zawżdy jak świat ratować momy, coś nom nie wyjdzie i szukomy pocieszynio. Dzisiej już my znodli.

ADEPT:

Zakorkowano, ale próżno. Doczkejcie… tam jest jakiś papiór wciśniony.

MISTRZ:

Nie godej, pokoż…

ADEPT:

Zobejrzyjcie.

MISTRZ:

Jak to wyciągnymy? Możno jaka kryka? Abo… drut jaki?

ADEPT *(rozbija butelkę):*

Mistrzu, to jest ajnfachowo flaszka po gorzole. Czytejcie drapko!

MISTRZ:

Zawilgło, ale to nie szyfr Hermesa… Fest rozmazane:
Ktoś…aresztu…niewinny I na dole:
Ratujcie chopa mego.

ADEPT:

Tu jeszcze widać „J" i „G" blisko… Mistrzu, a jak to jest mój sąsiad? Ten baniorz, co go zamkli?

MISTRZ:

Kery? Tyn ryszawy, co ludziom wongiel wysypywoł?

ADEPT:

Nie, inny – Jorg. Tyż porządny chop. Cołe życie przerobioł na banhowie i przed pendzyjom go zamkli.

MISTRZ:

Tyn zawiadowiec z głównygo?

ADEPT:

Ja, tyn. Godajom, że to łon nie chcioł zawiesić tabuli, na keryj stało napisane: „Stalinogród".

MISTRZ:

Tabula? Hermesie, a bezma to tyj tabule szukomy?

ADEPT:

Nie, to tako zwykło, mało, co na nastawni wieszajom.

MISTRZ:

Gwiazdy nom godajom, że dzisiej znojdymy tabula, ale nie JAKO tabula. Bez to idymy tam do ciebie, na Pocztowo.

ADEPT:

No ale właśnie o to sie rozchodzi, że on siedzi. Możno i na Mikołowskij, ale przeca tam nos nie wpuszczom. Mogymy pogodać z jego babom, mie nie wyciepnie.

MISTRZ:

Nie wierza, coby Wielki Astrologiczny Krziż, i to z miesionczkiem w pełni, mioł sie zakończyć bez choby jedynyj wielgij przemiany… A na Mikołowsko możno by i wpuścili, ale bieda byłaby wyleźć…

BINA 2.

Mieszkanie na ulicy Pocztowej.

MISTRZ:

Klupej!

ADEPT:

Mistrzu, to jest trocha za wczas. Pomyślom, że my to łoni.

MISTRZ:

Synek, przeca my to nie łoni, a my, pra? No a ciebie sam znajom.

Adept puka do drzwi.

TRUDA:

Jezus, ostowcie nos w pokoju. Już wiencej nic wom Jorg nie zrobi.

MISTRZ:

Chcemy wom pomóc.

TRUDA:

My ino chcymy spokoju, żodnyj pomocy nie potrzebujymy.

ADEPT:

Pani Truda, to jo, Ancik z dołu.

TRUDA:

Ancik? O tyj porze? Co się tuczesz jak Marek po piekle?

ADEPT:

Piekło to inni. Otwórzcie ino.

Drzwi się otwierają.

TRUDA:

Jezus, Maryjo. A tyn to kto? Farorz? Doktor? Znachor? Z kim żeś ty się zadoł? A matka wie?

MISTRZ:

Witej, dobra kobieto!

ADEPT:

Taki choby odczyniac.

MISTRZ:

Mistrz duchowy sie godo. Szukom, czuwom, a czasym coś i znajda. Do usług.

TRUDA:

Znom takich mistrzów. Jo żech jest robot kuchenny Truda. Jo ino robia, robia i robia.

ADEPT:

On ino tak wyglondo, nie szterujcie sie. To je dobry chop. My chcieli ino pomóc waszymu.

TRUDA:

Wlyźcie… *(zamyka drzwi)* Wy coś mocie z tym wspólnego?

ADEPT:

Z czym?

TRUDA:

Z tym, co go wypuścili.

MISTRZ:

Kiedy?

TRUDA:

Wczorej, abo to już dzisiej było? Bydzie już kilka godzin w doma.

MISTRZ:

O po trzykroć święty, kery uwalniosz uciśnionych...!

ADEPT:

Jak ś nim?

TRUDA:

Ani się nie pytej. Bogu dzięki, że go wypuścili, ale coś mu zrobili z gowom, chachary jedne!

JORG:

Zdrastwujtie. Wy prijechali w gorod Stalinogród. Wo wriemia postajanki wychodzit nie lzia.

TRUDA:

Widzicie co się z nim wyrabio? Czasym godo coś normalnie, czasym choby go w Rybniku trzimali.

JORG:

Truda, narychtuj mi kany z bonkawom i sztery klapsznity – mom nocka.

TRUDA:

Jorguś, jo cie prosza, przestoń mie robić za błozna!

MISTRZ:

Nie, nie przeciwcie sie mu. Narychtujcie mu, co chce.

TRUDA:

Ufff, to wy i po noszymu godać poradzicie…? Sznity i bonkawa? Skond wyście som? Bydzie malckawa, to i bydzie dość.

MISTRZ:

Czekejcie, doczkejcie… przeca momy uczynnego sąsiada.

ADEPT:

Mistrzu, i u nos bydzie bieda…

MISTRZ:

Czy ty nie rozumisz, że momy Astrologiczny Krziż i chopa do uratowania? Twojigo sąsiada?!

ADEPT:

Już ida.

MISTRZ:

Czekej… Powiedzcie, co on jeszcze zje ze smakiem?

TRUDA:

Przeca wom mięsa dzisioj nie wyczaruja. W geszeftach ino puste hoki. Dyć żebych mu dała roladów z kluskami i modrom kapustom, ale… Ale to wyście som łod cudów, pra?

MISTRZ:

Ciś do dom synek. Trza ta rolada złożyć we ofierze Stalinowi.

ADEPT:

Przeca już nie żyje.

MISTRZ:

Synek, ty nie widzisz tego, co jo – Stalin choby Feniks odrodzi się jeszcze nie roz, nie dwa.

JORG:

Wo wriemia obysku niczewo nie obnarużeno.

MISTRZ:

Co on godo? Mieliście rewizjo?

TRUDA:

Przeca on po rusku umioł pora słów – tela co na banhowie.

MISTRZ:

Synek, ciś do sia i przynieś co mosz.

ADEPT:

Pierzinie, tak żech się cieszył na tyn geburstag.

(wychodzi)

MISTRZ:

A wy dejcie ino szolka jakiego kompotu albo tyju.

(wyciąga z kieszeni różne pigułki)

TRUDA:

Co wy tam za piguły mocie? Chopa mi otrujecie!

MISTRZ:

Jemu już gorzyj nie zrobiemy, ino pomóc mogymy. Idźcie do kuchnie.

TRUDA:

Wyście tysz som fest pofyrtani, ale… wom dobrze z oczu patrzy.

JORG:

„Jak tam panie baniorz? Szlak otwarty?"

„Mo sie rozumieć, naczelniku Kurzydelski, będę się starać gadać czysto po polsku."

MISTRZ:

A godejcie tak, jak ino chcecie.

JORG:

Wer ist Hotel de Prusse? Gerade aus, nächste Strasse links und dann zweite strasse nach rechts.

MISTRZ:

Ale ci chopie porobili... Ale ciepnymy ci woniaczka choby nitka do twojigo labirynta.

Przychodzi Truda z kompotem.

MISTRZ:

Dobry kompot, fajnie wonio. Już wiem, jakie rolady poradzicie uwarzić... Znocie Pieśń o Roladzie?

TRUDA:

Wy znocie czary i pieśniczki, za to jo znom najlepszy na świecie recept.

MISTRZ:

O „Rolado, ty mi się nadosz, na niedzielny łobiod…". Dalyj nie pamientom! Dejcie mu ino te piguły. Od wos weźmie.

TRUDA:

Jorg, mój roztomiły dzióbeczku, co łoni z tobom narobili. Mosz, chopeczku, łyknij ino te piguły, a bydzie ci… lepij.

JORG *(łyka tabletki):*

Ktoś tu godoł o roladach?

TRUDA:

Jorg! Ja, nawarza ci cały gor…

(wychodzi)

MISTRZ:

Jak ino Ancik przyniesie.

TRUDA:

Jak ino Ancik przyniesie. Tyn chop godo, iże wie, jak ci pomóc.

MISTRZ:

Mistrz Hajnrich z Morgenrołtu.

JORG:

Jorg Piekarski, niesłusznie zwolniony zawiadowca stacji Katowice Główna, na ta chwila Stalinogród… Bydom dzisioj rolady?

MISTRZ:

Bydom nawet i dzisiej, ino musicie nom pomóc…

JORG:

Już żech słyszoł kajś ta godka… Ale mi sie w łebie ćmi…

MISTRZ:

Ćmi sie to, co momy teroz, cobyście lepij zoboczyli to, co downij. Liczcie ino pomału, ale od zadku…

JORG:

Cyjn, nojn… Co jo godom… Jedyn… sztyry…

MISTRZ:

Ja, o to się rozchodziło.

ADEPT *(wpada):*

Mom! Trocha, ale…

MISTRZ:

Ciii *(wskazuje Trudzie, żeby robiła rolady, zamyka drzwi)* Jorg, zawryj oczy, przypomnij sie, jak trzymosz swojigo ojca za rynka, a na wypucowany Kattowitzer Banhof, Steig 1, Gleis 2 wjeżdżo z pełnom parom lśniący Zug…

JORG:

Schnellzug aus Breslau. Mój fater mo gryfno czerwono czopka, złote patki przi kraglu, podnosi lizok i peron ruszo z miejsca, i jedzie nazod, i idzie jakiś Rus, i wyciongo giwera…

MISTRZ:

Ciiii, Jorg, ciii… Jadymy nazod… Mosz siedem lot, trzymasz ojca za rynka, żodyn wulc nie śmie cie tknońć… April…

JORG:

Ja, pierwszy kwietnia.... achtzehnhundertfunfundneunzig…

MISTRZ:

Przipomnij sie – w oczach mosz czorne knefle z jego munduru…

JORG:

Ja, oreł, z dwoma łeboma, oba choby wachtyrze zezujom na boki…

MISTRZ:

Ja, Jorg i terozki gowa obróć na ta mało chałpka, kaj ojciec majom te wszystkie Fahrplany, Fahrkarty.

JORG:

Ja, Stationshaus – wyszorowane okna, biołe gardiny… Przeca to jest Koniglich Preussischen Eisenbahn – gro bergmońsko kapela, czerwone pióropusze, szychtmajstry a dyrektory… Wjeżdżo tyn Sonderzug z breslauerami i momy sam Eisenbahndirektion…

MISTRZ:

Ja, terozki godosz do porządku…

JORG:

I słysza „Heil dir in Siegerkranz".

ADEPT:

I widzisz ta tabula – „Kattowitz" szwabachą pisane. To, co od ciebie chcieli te ubole.

JORG:

Jo nic nie widza… nic nie wiem.

MISTRZ:

Synek, zawrzij gymba.

ADEPT:

Mistrzu, już nie byda.

MISTRZ:

Po lekku, chopy, po moim leku inaczej sie nie do… Teroz ty mosz mundur…

JORG:

Po lekku, Hajnrich, to niy ma tak łaps! Nasamprzód pucujesz tory, potym zwrotniczy, nastawniczy, manewrowy…Pamientom, jak na praktikum odprawiali my Sommerzugi nach Ellgoth i Emanuelsegen. Katowice 2.45, Kokociniec 2.54, Murcki – bahnhof 3.05 i Murcki – gruba 3.15. Wszystko łaziło jak w pruskim zygorze…

MISTRZ:

I jadom te zugi, skład za składem, wagon za wagonem. I ausgerechnet jadymy do powstanio, na Anaberg.

JORG:

Pamientom jak nazod przijeżdżali – krew na koszulach, zabindowane gowy, giry w gipsie. Rany boskie! Jaki to lo wszystkich sam boł jankor!

MISTRZ:

Ale przyjeżdżo Korfanty…

JORG:

Kawał chopa, idzie z tym swoim hajmattrojerem. Wszyjscy mieli stracha skuli tego psa – ruk-cuk skokoł do gardła, tym grencszucom ma się rozumieć.

MISTRZ:

Korfanty biere ta tabula?

JORG:

Nie, inszy – taki mariner, mały, ale ostry karlus…

MISTRZ:

Oszek!

JORG:

Ja, i tyn drugi…

MISTRZ:

Walerus…

JORG:

On już był po stronie Borelowskigo. Walerus chcioł ta tablica rozwalić, bo już nie umioł patrzeć na tych zmarnowanych synków, ale Oszek kozoł mu jom ostawić.

ADEPT:

Powstańce się pierom?

JORG:

Nie wtedy. Oszek koże ojcu schować ta tabula. Godo:

„Panie baniorz, to tyż jest historia. Schowejcie to kajś dobrze. A jak wszystko ucichnie, to po nia przyjada". I fater tak dobrze schował, iże potem som znolyźć nie umioł. Za to znodli po tym esesmany i zawiesili ta staro jak Hitler prziszoł.

MISTRZ:

A terozki zoboczcie ino w swoim fotoplastikonie tabula, kero wisiała za staryj Polski.

JORG:

Ja, jo już jest manewrowy, za Rymera. Widza jom – jeszcze jest tako emaliowano, z tymi prostymi literoma „Katowice Główna". Po tym za Borelowskigo chcieli jeszcze nad „T" domalować tako bioło-czerwono fana, iże to niby Katowice zawżdy polskie były, abo te z Galilei z nos chcieli prawdziwych Poloków zrobić, a nie przez Niemca farbowanych, ale dali się pokój.

MISTRZ:

I terozki momy tyn wrzesień…

JORG:

Ja. Zanim prziszoł Neuling, były sam frajkory. Nicht schiessen – wołom – Ich bin nicht Bahnhofsvorsteher.

MISTRZ:

Nie zrobili wos głównym zawiadowcym? Po tych kursach, po latach roboty...?

JORG:

A kaj tam. Mój ojciec nie był szefem na Kattowitzer Hbf, bo boł Wasser-Polok, a na Katowice Główna jo nie mógł być, bo żech boł Wasser-Niemiec. A wtedy,

w 39, wszystkie dyrektory pouciekały do Rumunie, i to automa! Chyba wiedzieli, co to za gańba citać stond, jak Hitler idzie…

MISTRZ:

I przichodzom te frajkory i…

JORG:

…i kazujom mi wyciepać ta tabula, ale to zaroz, a nowyj nie majom. Bez to im godom: „Ordnung musi być, bo jak mo być stacyjo bez swoijgo miana".

ADEPT:

Po jakiemuście godali?

JORG:

Po noszymu, a po jakiemu? Jo lepij poradza godać po niemiecku niż te lebry. Ale nie wiem, co by ze mnom było, jakby ausgerechnet nie przisło ze sztyrech powstańców.

ADEPT:

I zaczynają się prać?

JORG:

Ja, bo po obu stronach som szwagry, bez to pierom się, a nie strzylajom. A o tabuli zapomnieli, bo już Wehrmacht sam cisł. A tych noszych prowadzili potym bez cała Zamkowo i wszystkich rozstrzelali.

ADEPT:

Biedne synki.

MISTRZ:

A tabula? O nia pytali sie przeca ubole.

JORG:

Ja, ale jo już mom dość. Jak się ino pomyśla o tym jednym pułkowniku Punto…

TRUDA *(otwiera drzwi):*

Ostowcie go, mo dość.

JORG:

Truda, a co tak pieknie wonio? Czy to nie aby… pierzinie… rolady? Echt?

TRUDA:

A som, som. Tyn młody zno chyba jakigoś masorza, bo taki konsek wołowego roz za kiedy się trefi.

ADEPT:

Moja matka zno.

JORG:

Dzienkuja wom, chopy, z całego serca, ale ino się spomna tyn Urząd Bezpieczeństwa Publicznego…

MISTRZ:

Dokończcie, z łaski, Truda, waszo robota. *(zamyka drzwi)* Nie tak Jorg my się umawiali. Bez to dajymy ci ta ślonsko magdalenka, cobyś się przipomnioł o wszystkich tych trzech tabulach. Za Hitlera, jak gauleiter Bracht uciekoł przed Rusoma w 45, mioł kajś schować tabula szmaragdowo.

JORG:

Jako? Tu chyba żodno rolada nie pomoże… Ale wonio, coby mi ino Truda nie przipaliła…

MISTRZ:

Genau! Zawryjcie oczy, Jorg. Jest minus zwanciś grad. Rus poli chałpy w rynku, bo mu tu fest piździ.

JORG:

Ja, Katowice zawżdy były okopcone skuli Marty abo Ferdynanda, ale nie tak jak wtedy.

MISTRZ:

Słychać ryk babów, co je soldaty wyzwoliciele dopadli, strzelajom pepesze, wywożom chopów.

JORG:

Jeszcze Rus nie włazi, ale pakujom sie Niemcy, jak Galileja Borelowskigo. Chowajom roztomajte zaki i kisty w roztomajtych schowkach. Przilazi taki wielgi blondyn, czorno czopka z trupiom gowom, Goldenzahn mu błysko w gymbie. Przilazi z dwoma postami, przistawio mi giwera do gowy i godo „Schlussel!". Doł mu żech wszystkie klucze. A one mieli pakungów w pierony. A pora tydni późnij przilazi ruski oficyjer i tyż chce klucze. A przeca Rus wszystko wzion. Ale tego na UB słuchać nie chcieli.

MISTRZ:

A jak Rusy wyjeżdżały to zaś do wos przyśli?

JORG:

Jedyn przitargoł wielgi zak i tyż go kajś schowoł. I to by mogła być ta waszo tabula, ino w konskach.

MISTRZ:

Po jakimu?

JORG:

Bo to strasznie klingało, choby jaki gold, abo co...

MISTRZ:

O drei-mal-hoch! Potłukli twoja tabula!

ADEPT:

Czekejcie ino, jo już wiem, my som w doma. Takich worów to tu wiela po Rusach ostało…

TRUDA *(otwiera drzwi):*

Słuchejcie ino…

GŁOS Z RADIA:

Tu Polskie Radio Katowice! Tu Rozgłośnia Śląska. Tu Radio Katowice!

ADEPT:

Jerombol! Stalinogród obalili? Ludkowie, dejcie pyska! Hurra!

MISTRZ:

Nie Stalinogród, a Stalinogrób – Stalin im kojfnoł po roz wtóry, a Katowice na nowo się rodzom.

JORG:

Nie wierza. Jezusiczku, nie wierza!

TRUDA:

Mój ty dzióbeczku, dajom ci już pokój. A kaj ty się bieresz? Lygej mi nazod do łoża.

JORG:

Jo musza iść.

MISTRZ:

Nie szafniecie tego, panie Jorg. My idymy z Ancikiem.

TRUDA:

Kaj?

ADEPT:

Pod radio! A tyn wór mistrzu, tyn gold ruski to były szkorupy z talyrzowych rantów.

MISTRZ:

Oni i ta frajmaurersko tabula mogli roztrzaść. Dychnijcie się, Jorg, gryfnieście nom połosprawiali.

(pukanie do drzwi)

TRUDA:

Jezderkusie! Schowejcie się do izby, zamkna dźwierze.

JORG:

Jo musza.

ADEPT:

Ciiii… UB nie śpi.

TRUDA:

Ja powiem mu... Dzienkuja wom ludzie kochane. *(otwiera drzwi)* Mosz geszynk od kamratów baniorzy – skuli tego cie tak męczyli *(pokazuje tablicę „Stalinogród”).* Godali, że tabula sama spadła.

ADEPT:

Wetna się, że tyż się musieli szarpać, coby jom tu przynieść.

JORG:

Farona kandego! A po nia żech chcioł iść.

ADEPT:

Akurat po ta nie warto.

JORG:

Momy ino jedna historia, ale i trzi tabule.

MISTRZ:

Słusznie prawicie, abo momy jedna historia, abo żodnyj. Nawet jakby ta nos fest s(z)terowała.

TRUDA:

Ale już żech z tego jednego konska poradziła trzi rolady narychtować. Ostońcie na obiod, jo i tak nie przepadom za wołowym.

ADEPT:

Zjedzcie sie na zdrowie, my idymy pod radio, do Katowic.

MECZ

Michał Wiejak

OSOBY:

KRISTA – żona Janka
JANEK – mąż Kristy
HAJNA – przyjaciel domu, sąsiad
WOJTEK – uciekinier

MIEJSCE AKCJI:

mieszkanie w familoku

CZAS AKCJI:

październikowa niedziela

Październik 2014 roku
(pukanie do drzwi)

KRISTA:

Ja! Ja! Otwarte!

HAJNA:

Witej Krista!

KRISTA:

A, to ty Hajna. Szczyńść Boże Hajna. Myślałach że to Janek z kompotym idzie. Siedzi już w ty pywnicy i siedzi.

HAJNA:

Przyszołech na tyn obiod trocha pryndzy, bo chca się obejrzeć tyn radyjok, kery my wczoraj przywiyźli. Wiysz... bo jo tyż mom dostać talon.

KRISTA:

A oglondej sie, oglondej. Jo i tak niy umia się na tym wyznać. Janek godoł, że musi jakiś drot spatrzeć, jakoś antyna zrobić. Ty mi lepi powiydz, jak sie czujesz jako potrójny ujek.

HAJNA:

Ani mi niy godej. Trzecio dziołcha. Szwager jest stracony. Moja pojechała siostrze pomoc, to i gyszynk musiała zawiyź.

KRISTA:

Wiym, wiym. Godałach z niom. Obiecałach, że cie bez obiadu niy zostawia. Co to za larmo za drzwiami? Hajna, obejrzi ino!

HAJNA:

Janek?!

KRISTA:

Jeronie, chopie, musisz tak larmować przi niydzieli? Co to? Kto to? Co żeś mi sam przywlok?

JANEK:

Złodziej! Chyba złodziej!

KRISTA:

Cało fusbołga mi zacioprze, a dopiero wczoraj żech jom szorowała i waksowała. Jak to chyba złodziej?

JANEK:

Wyżerał naszą kapustę z beczki i popijał kompotem.
Coś ty za jeden?

KRISTA:

Musisz go kopać?

JANEK:

Przecież go nie kopię, tylko lekko szturcham.

KRISTA:

To niy szturchej.

JANEK:

To co z nim zrobić? Wpierdolić...

KRISTA:

Janek! Miarkuj! Niedziela jest.

JANEK:

... i puścić, czy za fszarz i na milicję.

ZŁODZIEJ:

Mamuśka! Nie! Tylko nie milicja!

HAJNA:

Znaczy chce wp... Chce w łeb.

JANEK:

Jak żeś to powiedział? „Mamuśka! Nie!”. Skądś to znam. Hajna, słyszałeś? Hajna! Radio sobie potem pooglądasz, słyszałeś co powiedział?

HAJNA:

Co?

JANEK:

No te „Mamuśka! Nie!”.

HAJNA:

Kajś żech to słyszoł. Wiela ludzi tak godo.

JANEK:

Hajna, zostaw to radio.

KRISTA:

Zróbcie coś z tym człowiekiem, bo zaroz obiod bydzie, a przeca niy posadza go przi stole.

HAJNA:

Mnie do tego niy mieszej!

JANEK:

Zróbcie, zróbcie – łatwo powiedzieć. Oddam go na milicję, to go spałują, a sam go przecież nie pobiję. A poza tym głodny, to chyba coś trza mu dać jeść?

KRISTA:

Dej mu koncek chleba i niych ucieko!

JANEK:

Nie daje mi to spokoju. Hajna, jak myślisz?... Zostaw to radio!

HAJNA:

Co tu myśleć. Na milicja z nim abo w ryj. I tela.

ZŁODZIEJ:

Na milicję nie!

HAJNA:

No to w ryj, abo sztylym przez pukel. Wybiyrej!

JANEK:

Hajna, daj spokój.

HAJNA:

Dej pokoj, dej pokoj. Czowiek haruje, coby zarobić, a taki na gotowe przychodzi.

JANEK:

Gnaty mu porachować zawsze możemy, ale słyszałeś to „Mamuśka! Nie!”?

HAJNA:

Słyszałem. I co?

JANEK:

I nie przypomina ci to coś?

HAJNA:

A co?

KRISTA:

Zróbcie coś z nim.

JANEK:

Krista, zaraz.

JANEK:

Nie wydaje ci się, że gdzieś to słyszeliśmy? Jakby ktoś już kiedyś przy nas to mówił, tak żałośnie: „Mamuśka! Nie!".

HAJNA:

Możno! Ale spomnieć nie umia.

JANEK:

To musi być jakiś młody chłopak.

HAJNA:

Cały citruje i mo połne galoty strachu.

JANEK:

Krista! Weź jakąś szmatę i przetrzyj mu gębę.

KRISTA:

Som się go ociyrej.

JANEK:

Hajna, przytrzymaj go. Niech tak leży na podłodze. Przetrzę mu tę złodziejską mordę.

HAJNA:

Kur...

KRISTA:

No, no! Hamuj przy niedzieli.

HAJNA:

Kura blado, ale tyn karlus śmierdzi. I to niy ino kwaśnom kapustom i kompotym z wiśni.

JANEK:

Patrz, Hajna. Nie wydaje ci się, żeśmy już gdzieś tę gębę widzieli?

HAJNA:

Pokoż! Jak się nazywosz?

KRISTA:

Drugi do szturchania.

HAJNA:

To co, mom go pochalać!? Jak już, to wola moja. Jest przynojmi co. A niy skora i kości.

KRISTA:

Ty ino o jednym.

JANEK:

Dobra, dobra, przijrzyj mu się, Hajna.

HAJNA:

Jak się nazywosz?

ZŁODZIEJ:

Wojciech. Wojtek.

KRISTA:

Synek! Takego świyntego patrono mosz i kradniesz? Niy wstyd ci?

JANEK:

Hajna, chodź no tu bliżej. A ty leż!

KRISTA:

Na co się tam namowiocie, na co? Jak myślicie, że po wszystkim pudziedziecie do Kapicy, to się grubo mylicie. U Kapicy dzisiej zawarte. Szczury trujom.

JANEK:

Słuchej, Hajna, coś mi się wydaje, że on kiedyś z nami robił.

HAJNA:

Myślisz? A kaj? Na przodku?

JANEK:

W maju, albo na początku czerwca, zjeżdżał z nami taki młody synek. Też Wojtek. Pamiętasz?

HAJNA:

Tyn co to jak szola ruszała wołał: „Mamuśka! Nie"... Pieronie, no ja.

(Janek kiwa potakująco głową)

HAJNA:

Kruca fuks, jak to jest tyn, to momy przewalone. Jak domy go milicji, to go skatujom. A jak niy domy, a nos chycom, to nom zdrowo przypierdolom.

KRISTA:

Hajnaaa!!!

HAJNA:

Jak się nie obrocić, gymba sino.

KRISTA:

Obiod zaroz bydzie. A tyn wasz Wojtek jak leżał, tak leży.

JANEK:

Zaczekaj jeszcze z tym obiadem.

HAJNA:

Co z nim robiymy?

JANEK:

Wstań. No wstań, Wojtek!

WOJTEK:

Proszę, tylko nie na milicję. Za wszystkie szkody zapłacę. Tylko mnie wypuśćcie.

JANEK:

Czy cie wypuścimy, czy oddamy milicji, na jedno wychodzi. I tak cie dopadną.

KRISTA:

Janek, co ty chcesz zrobić?

JANEK:

Nic.

KRISTA:

Ale...

JANEK:

I tak już nie mamy wyjścia, potem ci wszystko wytłumaczę. Teraz idź do pokoju, przygotuj jakieś moje łachy i nie wychodź, aż cię nie zawołam.

KRISTA:

Janek, ty chyba nie chcesz...

JANEK:

Wszystko będzie dobrze, Krista, wszystko.

HAJNA:

Pieronie, ale się porobioło. A mioł być ino obiod z piwym, a potym szpil w radiu.

JANEK:

Wojtek, rozbieraj się!

HAJNA:

Niy rozumiysz po waszemu? To ci to powiym po naszymu! Seblykej sie. I niy citruj tak, łachu, bo jo som w strachu. Niy mogą się nadziwić, że coś takiego przy niedzieli robia.

JANEK:

Łazienki jeszcze nie mamy. Wanny z piwnicy nie przyniosę, bo od razu sąsiedzi by się pytali, czemu się w sobotę nie kąpałem. Za całą łazienkę musi ci starczyć ta miska.

HAJNA:

A co z tymi łachami?

JANEK:

Jak to co? Do pieca!

HAJNA:

Janek, co my robiymy? Przeca my niy wiymy, co z tym synkiem zrobić. Jak nos ktoś przezdradzi, to najpiyrw nom sfacjata na sino-zielono przemalujom, a potem z pierdla niy wylezymy.

JANEK:

Tak może być. Ale nie musi. Nikt mnie nie widział, jak go tu przywlokłem. Oprócz nas nikt nie wie, że on tu jest. Już raz chyba mu uratowaliśmy życie. Nie możemy go teraz tak zostawić.

HAJNA:

Jak się moja staro dowiy, co jo tu w niedziela wyrobioł, to mi reszta moich wosow wyrwie, a bole gowy bydzie miała przez miesionc, jak niy dwa. I bydzie miała recht.

JANEK:

No! Teraz już trochę do człowieka się upodobniłeś po tej „kąpieli".

HAJNA:

Bardzi do konia od Wiyncka, wszystkie kości na wiyrchu.

JANEK:

Wojtek, wejdź za tę zasłonę.

Krista! Masz już te ubrania!? Możesz przyjść.

KRISTA:

Janek! Co my robiymy? Zawrzom nos jak amen.

JANEK:

Już dobrze, Krista, już dobrze. A teraz obróć się. Muszę Wojtkowi dać te łachy.

KRISTA:

Ponboczku...

HAJNA:

Mosz recht, teraz ino on nom może pomoc.

JANEK:

Ubrałeś się już?

WOJTEK:

Tak.

JANEK:

To wyłaź! Pokaż się!

KRISTA:

Przeca to jeszcze synek... Wiela mosz lot?

WOJTEK:

Dziewiętnaście!

KRISTA:

Cicho! Jakieś larmo w siyni. Cicho!

HAJNA:

Moja mo dopiyro jutro przijechać...

KRISTA:

Ciii...

JANEK:

Niy otwiyrej drzwi.

KRISTA:

Ciii... Somsiadka z dołu z jakimś chopym godo... Ciii... Jakiegoś wojoka szukajom.

HAJNA:

Musza się siednonć.

JANEK:

Cicho!

KRISTA:

Poszli. Puda się dowiedzieć co i jak.

JANEK:

Ani mi się waż. Siadaj na dupie i siedź, póki jeszcze ją całą masz.

KRISTA:

Niy!!! Niy!!! Niy wierza! Coś ty, gupieloku, zrobioł? Niy wierza! To on jest tym wojokiem, kerego szukajom?

HAJNA:

Jo tyż nie wierza. Ale tako jest prowda.

KRISTA:

Co teraz z nami bydzie? Niy mogliście go zaroski na milicja oddać?

HAJNA:

Krista, niy becz, to niy jest tak.

KRISTA:

A jak? A jak? Przeca wos, gupieloki... Wsadzom nos wszystkich, jak go niy pośly-my na Herman do koszar. I nasz Antoś zostanie sierotą. Dobrze, że u mamy jest.

JANEK:

Gdzie on jest?

HAJNA:

Przeca niy uciyk!?

WOJTEK:

Tu jestem...

HAJNA:

Wyłaź zza tego forchangu. Już poszli.

KRISTA:

To może yntlich mi wyklarujecie, co my robiymy. Ino laksam, a dokładnie. Tak co zrozumia.

JANEK:

Usiądźmy.

HAJNA:

Dyć siedza.

JANEK:

W maju...

HAJNA:

Niy, w czerwcu.

KRISTA:

Wszystko jedno.

HAJNA:

Pora miesiyncy tymu siedzymy już w szoli, sygnalista doł zignal, szola szarp-noła, zazgrzytała i ruszyła.

KRISTA:

Hajnaaa! Już sto razy słyszałach, jak ruszo szola...

HAJNA:

I noroz słyszymy: „Mamuśka! Nie!”. A potym zdrowaśki po cichu.

KRISTA:

I co? I co?

JANEK:

Nowy żeś jest? – pytam. Pokiwał tylko głową. Pierwszy raz zjeżdżasz? Znowu pokiwał głową. A skąd żeś jest? – Z wojska – pierwszy raz się odezwał. Z koszar na Porębie? – zapytałem. – Tak – odpowiedział.

HAJNA:

To mosz przesrane...

KRISTA:

Wyrażaj się!

HAJNA:

Tak żech mu wtedy pedzioł – przeca chcesz znoć prowda? Niy?

KRISTA:

No ja...

JANEK:

Jak mieliśmy już iść ku przodkowi...

WOJTEK:

Tak było.

KRISTA:

Cicho siedź!

JANEK:

Jak mieliśmy już iść ku przodkowi, wyszło, że tam na górze dali mu całkiem nową karbidkę. Nasypali karbidu, ale o wodzie zapomnieli.

KRISTA:

Przeca bez wody żodno karbidka się niy oświyci! I co?

HAJNA:

A nic, kozołech mu nacedzić do karbidki i tela. Zrobioł się czerwony jak ćwikła i gupio pyto: Tak przy ludziach? A jo mu na to, że tu na dole niy ma ludzi, ino szlepry, hajery i wyścigowce. A jak się wstydzisz, to możesz się obrocić. Ino dowej pozor na szczury. Zdo im się, że woszt z kapsy wyciongosz, to ci mogom go odgryźć.

KRISTA:

No ja, chorzy byście byli, jakbyście z kogoś niy poboznowali.

JANEK:

Wtedy powiedziałem mu: Jak chcesz przeżyć, to trzymaj się blisko mnie albo Hajny i szybko się ucz, bardzo szybko. Inaczej będziesz tu kolejnym duchem. A duchów tu na dole i tak mamy dość.

HAJNA:

Musioł się to wzionć do serca, co Janek godoł, bo tu siedzi. Chudy bo chudy, ale żywy.

JANEK:

Gdzieś po miesiącu nie pojawił się w naszej brygadzie. Od tamtego czasu pierwszy raz go dzisiaj widzę.

KRISTA:

No to momy ostuda! Co teraz? Przeca niy może tu siedzieć wiecznie.

JANEK:

No nie może, ale może zjeść z nami obiod.

KRISTA:

No ja, styknie do wszystkich.

JANEK:

Wojtek, to teraz opowiadaj.

WOJTEK:

Co tu opowiadać? Panowie wszystko już powiedzieli.

HAJNA:

A co ci pizło na dekel, żeby z wojska uciekać?

WOJTEK:

Z jakiego wojska?! To, że mundury mamy, nic nie znaczy. Po to nas wzięli, żebyśmy jak niewolnicy zasuwali tam na dole, i gołymi rękami ten węgiel z ziemi wydzierali. Bez przygotowania, bez szkolenia. Sami widzieliście, że nawet mnie nie nauczyli, jak się karbidkę zapala. Ile razy już chciałem sobie życie odebrać, Bóg jeden wie. Ale zawsze brakowało mi odwagi.

JANEK:

To nie brak odwagi cie powstrzymywał, a chęć życia, mimo wszystko.

WOJTEK:

I tak postanowiłem uciec. Albo mi się powiedzie, albo mnie zastrzelą – pomyślałem.

KRISTA:

Ale cie nie zastrzelili i teraz my cie momy na gowie.

WOJTEK:

Wczoraj, po drugiej zmianie, jak nas policzyli, schowałem się w jednym z wagoników, którymi wożą drewno na Herman. Przed przejazdem przez ulicę wyskoczyłem i schowałem się w krzakach. A że wasz dom jest pierwszy, to schowałem się w piwnicy. I tyle.

KRISTA:

I tela, i tela! Po co jo go po tyn kompot posłała.

Kaj tyn kompot?

JANEK:

Nie przyniosłem.

KRISTA:

Jaaanek! Ach! Już nic niy godom.

HAJNA:

A czamu cie niy wziyli do normalnego wojska?

WOJTEK:

Bo powiedziałem, że we wrześniu trzydziestego dziewiątego Związek Radziecki też na nas napadł.

KRISTA:

Przeca to prowda.

HAJNA:

Krista, to ty niy wiysz, że prowda mogesz się godać w doma, i to jak żodnego niy ma, a niy na marktplacu?

JANEK:

O ile dobrze pamiętam, jesteś z Krakowa?

WOJTEK:

Tak, ale stryjka mam w Katowicach.

HAJNA:

Stryjka?

JANEK:

Brat ojca.

HAJNA:

To ujka mosz.

KRISTA:

Sam obiod mocie, jydzcie.

KRISTA:

Co za rodzina. Że tyż te chopy w tyj rodzinie zawsze coś muszom łonaczyć.

WOJTEK:

Co takiego?

KRISTA:

Nic, nic...

JANEK:

Ale co łonaczyć?

KRISTA:

Jak to co? Ojciec tyż boł taki gupi.

HAJNA:

Poczamu?

JANEK:

Właśnie. Dlaczego?

KRISTA:

Upar się, że bydzie ruskim gyfangrom chlyb nosioł na gruba. Wiycie co by się stało, jakby to wyszło na jaw? Wszystkich by nos do Auschwitz wywiyźli.

JANEK:

Musiało się udać, skoro was nie wywieźli.

KRISTA:

Ja?! A jak Rus wloz, to ojca wywiyźli nie wiedzieć kaj. I tela my go widzieli.

HAJNA:

No ja! W takim to już miejscu żyjemy. Abo my ich, abo oni nos. I wszystko jedno czy to Niymiec, Polok czy Rus.

KRISTA:

Ino niy wyjeżdżejcie mi tu z politykom! Pojedliście?

HAJNA:

Ja, dzięki Krista.

WOJTEK:

Dziękuję pani.

KRISTA:

Już dobrze. Na zdrowie. Kompotu niy ma. To teraz drapko mi powiydzcie, co z tym bajtlym checie zrobić. Bo jo w tych nerwach dużyj niy strzimia!

JANEK:

Włącze radio, żeby troszkę larma było. Ściany mają uszy i mogą się zacząć zastanawiać, co to za nieznany głos w nie wnika.

WOJTEK:

Mogę o coś zapytać?

HAJNA:

Jak musisz.

JANEK:

Pytaj.

WOJTEK:

Jak to jest? Pan, panie Janie, jest pewnie Polakiem.

HAJNA:

I to zza Buga! I do tego z ichniego AK, czy jakoś tak!

WOJTEK:

Pana żona – Ślązaczka, a pan Hajna? Ślązak? Niemiec? Połapać się nie mogę. A wszyscy razem pomagacie mi.

HAJNA:

Synek, to dej pozor teraz: Jo się tu urodzioł. W Niymcach. Dwa przystanki tramwajowe od polski granicy. Mój ojciec pod Anabergym zostoł.

WOJTEK:

Dlaczego?

JANEK:

Poległ w powstaniu śląskim pod Górą Świętej Anny.

WOJTEK:

Aaaa!

HAJNA:

Potym mnie wziyli do Wehrmachtu i wsadzili do Tajgra. Z tego Tajgra szczyloł żech do polskego pancra, w kerym siedzioł Janek. A tyn polski pancer szczyloł do mnie.

JANEK:

Jak to?

HAJNA:

Normalnie, tak jak się z pancra szczylo. A potym zrobioła się tu niy to Polska, niy to Rusland. A żyć trza. Keregoś dnia na grubie tompneło, hukneło i mnie zasuło. I kto mnie odkopoł? Janek. Jak dziś pamiyntom, jak się zpytoł: Żyje pan? Żyja. Hajna mi godej, a niy pan – pedzioł żech. Jan jestem. Zaraz cie wydobędziemy. Kaj bych się pomyśloł, że mnie gorol uratuje.

WOJTEK:

Skomplikowane to.

HAJNA:

Kaj tam. To proste jak rajfa. Trza się ino tak obrocić, coby na swoje wyjść i mieć do tego fajno rodzina i pora ludzi kole siebie, kerzy cie z kożdego szamba wyciongnom. A na pewno probować bydom.

KRISTA:

Czy wyście się niy zapomnieli? Czy wyście som na jakimś gyburstaku abo chrzcinach? Może wom jeszcze jako halba postawić!?

HAJNA:

A mosz?

KRISTA:

Ty, dej pozor. Bo jak ci tom chadrom przez tyn gupi łeb przeleca, to bydzie ci lepij jak po halbie.

JANEK:

Ciszej. Posłuchamy wiadomości!

KRISTA:

Tyż żeś się wybroł czas na suchanie radioka. Na ostuda my to kupili!

JANEK:

Ciiii... Słyszycie to co ja? Słyszycie?

KRISTA:

No co? Przeca to niy nowina, że dzisioj w Chorzowie Poloki z Rusami fusbal grajom.

HAJNA:

Już mom dość tych godek o tym, jake to som nasze wielke kamraty i jake to szczynście bydzie, jak robole bydom rządzić. Niych to przody na szczurach sprobujom. Jak przeżyjom – uwierza.

KRISTA:

Przestoń z tom politykom.

JANEK:

To jest okazja... jedyna okazja... Hajna, przynieś swoje galoty i mantel niedzielny, szybko!

HAJNA:

A co, na mecz idymy? Mosz bilety?

JANEK:

Nie pytaj głupio, tylko przynieś. Krista, daj tę starą marynarkę po teściu. Tę wypolstrowaną. A! Hajna i kapelusz tyż niedzielny przynieś. Szybko, szybko!

KRISTA:

Janek, niy powiysz chyba, że na mecz chcesz iść?

JANEK:

Właśnie chcę! Chcę!

KRISTA:

To szajdong mosz pewny.

JANEK:

Mosz te łachy, Hajna?

HAJNA:

Mom. A mosz bilety?

JANEK:

Kupimy w tramwaju.

KRISTA:

No nieee! Zarozki mnie do Toszka weznom.

JANEK:

Wojtek, ubieraj się.

JANEK:

I co? Kawał chłopa z tego Wojtka.

KRISTA:

Niy pedziała bych.

JANEK:

Wojtek, włóż płaszcz i kapelusz. I jak?

KRISTA:

No... jak Hajna 10 lot tymu.

JANEK:

I o to chodzi. Rozumiecie!?

KRISTA:

Jo nic a nic.

HAJNA:

Jo tyż tela.

JANEK:

Zrobimy tak. Z Wojtkiem przebranym za Hajnę pojedziemy tramwajem do Chorzowa, tak jak byśmy na mecz jechali. Nikt nie pomyśli, że w tym tłumie jest ktoś inny niż kibice. Jak znam życie, cała milicja pilnuje teraz naszych „przyjaciół". A patrole wojskowe z Zaborza na pewno tramwajami w tym ścisku nie pojadom.

HAJNA:

Zaczynom chytać.

JANEK:

To się musi udać!

WOJTEK:

Uda się!

HAJNA:

Uda są dobre, jak są ciepłe i...

KRISTA:

No, no, dej pozor, bo dostaniesz.

HAJNA:

... i na talyrzu, chciołech pedzieć.

WOJTEK:

Boso mam iść?

JANEK:

Cholera. Weź moje buty. Pasują?

WOJTEK:

Pasują.

KRISTA:

Jak bych niy wiedziała, to bych pomyślała, że to niy jest Hajna. Janek, aleś to wymyśloł...

HAJNA:

Dobra, dobra, całować go bydziesz potym. Ino co jo z tego byda mioł?

KRISTA:

Jak to co? Dobry uczynek. I mój obiod. Niy boł najgorszy wierza? No i jeszcze kusik. Ale ino w glaca.

HAJNA:

Co jo mom robić?

JANEK:

Nic. Tu mosz u mnie siedzieć tak długo, aż nie wrócę. I niy pokazuj się. Najlepiej w kącie za zasłoną siedź.

HAJNA:

Tego nie możesz ode mnie chcieć. Ale rozumia. Byda cicho siedzioł aż niy przidziesz.

JANEK:

Wojtek, uważaj teraz. Plan jest taki: wiesz gdzie stryjek mieszka?

WOJTEK:

Wiem. W samym centrum Katowic, niedaleko rynku.

JANEK:

Bardzo dobrze. Wierzę, że twój stryjek cię przyjmnie?!

WOJTEK:

Na pewno. Jest moim chrzestnym.

JANEK:

To plan jest taki: jedziemy na mecz. Tramwajem dojedziemy pod sam stadion. A pod stadionem, w tym zamieszaniu, wsiadamy do tramwaju jadącego do Katowic. Ty idziesz do wujka, a ja wracam pod stadion. Do domu wracam w tłumie ludzi, jak bym z meczu wracał. Proste?

WOJEK:

Bardzo proste.

HAJNA:

Jak sztyl. Ino czy tyn sztyl bydzie pasowoł do łopaty? Bo jak niy, to wos ostro przyciosajom. A mnie przi wos.

KRISTA:

Ponboczku, Janek!!!

KRISTA:

Mosz kusik na droga. Ty tyż, Wojtek. Jak to się udo, to się piyrszy roz w życiu ożera.

HAJNA:

To jo z tobom. Może zaś się coś dowiym, jak wtedy na chrzcinach o tym, że z pancrów my strzylali: Janek do mnie, a jo do niego.

KRISTA:

Ja, ale to boło z Jankiem i po drugi halbie. A mnie kwarytka styknie, żeby sie naprać.

JANEK:

Dobrze. Bal zrobimy jak wrócę. A wrócę.

HAJNA:

Bela niy za 20 lot.

KRISTA:

Z Bogiem!

HAJNA:

Niych wos Matka Boska Piekarsko mo w swojej opiece.
Jo osiwieja.

KRISTA:

Ponboczku złoty, uczyń tak, coby choć roz Rusy nom pomogli.

WILIJO

Anna Wojtkowska-Witala

WYSTYMPUJOM:

MATKA
ŁOCIEC
CERA
SYNEK

SCYNA PIYRWSZO

We kuchni. Przi stole na zicu siedzi Matka i chlipie tyj. Synek wcino sznita z wusztym. Włazi Cera. Kudły mo spiynte szpangom w kucyk ciynki jak sznitlok. Cera wyciongo z lodowki kiszka.

CERA:
Ni ma jogurta? Ino skisłe mlyko?

MATKA:
Kiszka je lepszo, zdrowszo.

CERA:
Niych bydzie.

Cera pije kiszka prosto z gorka. Synek mlasko. Matka wstowo i cosik sznupie we byfyju. Cera wkłodo prozny gornek do ausgusa.

CERA:
To jo już ida.

MATKA:
A kaj ty leziesz tak wczas rano? Dyć szkoły ni ma.

CERA:
Dogwarziłach sie z dziołchami.

SYNEK *(chichro sie jak gupielok):*
Ja, chyba z tym gorolym.

CERA *(szczylo go bez łep):*

Zawrzyj się, pyndroku.

MATKA:

Nikaj niy wylazuj z chałpy. Jutro Wilija, trza mi pomoc.

CERA:

Sami godocie, że jutro, to czamu dzisioj trza rychtować?

MATKA:

Dyć żech ci wczora godała. Urlopu mi niy doł pieron jedyn. Byda zapierdalać jutro w robocie, bestuż trza dzisioj wszytko narychtować, coby niy było nieskorzi.

Włazi Łociec.

ŁOCIEC:

Matka, a ty co tak szpetnie godosz? Dyć dopiyro co my w suchatelnicy byli.

Cera wartko wylazuje z kuchni.

MATKA:

Łobejrzyj ino, zaś pitła. Jak jo to wszytko przedsia porobia? *(ślimto)*

Synek wstowo z zica i stowo wele Matki.

SYNEK:

Niy ślimtejcie, mamulka, dyć jo wom pomoga.

MATKA *(głoszcze go po kudłach):*

Tyś to je rychtych dobry bajtel. Żodyn miglanc... Synek, jak jo ci tak przaja...

ŁOCIEC:

Jo ci tyż, staro, pomoga.

MATKA:

Ino niy staro, ino niy staro! Ty stary pieronie. Dobrze tak zadek plaszczyć na pynzyi i mondrować, zamias na dziecka dać pozor. Wilijo, a Cera zamiast warzyć, szlajo sie łod rana z byle gorolym.

ŁOCIEC:

Jo na grubie swoi łodpracowoł. A łona jak przidzie nazod, to i nazdom i spiera jom po rzici.

MATKA:

Ino niy po rzici, jeszcze do kryminału pódziesz za pranie dziecek.

Matka wyciongo z byfyja maszynka do melanio maku.

Przyłonaczo jom do stoła. Wyciongo tytka z makiym i ciepie na stoł.

MATKA:

Synek, ty melej mak, a ty, Łociec, ciś ryby zbijać. Jo se wyduldom kamelki, bo mie sam z nerwow puczy jak diabli.

ŁOCIEC:

Ida, ida...

SYNEK:

Melom, melom...

SCYNA DRUGO

We kuchni. Łociec siedzi na ryczce przy wielim kastrolu i na przemian ukłodo potarte jarziny i konski ryb. Synek moczo w mlyku pokrono w sznity plecionka i ukłodo na gynstym maku, kiery Matka wlywo do wieli auschietki. Łociec wstowo i ciśnie pazura do gorka z makiym, potym do gymby i łoblizuje sie.

MATKA:

Jak ci stary mazna bez tyn pysk! Kaj mi tu pchosz ta smrodlawo łod ryb pazura? Dyć makowki bydom do bani.

ŁOCIEC:

Pomaszkiecić niy można?

MATKA:

Niy. Niyskoro już, trza spiychać się, bo niy bydzie wiliji.

SYNEK:

Niy godejcie, matka, że niy bydzie. Przeca bydzie.

MATKA:

Bydzie, bydzie. Tak se ino godom. Dobra, synek, tera sie bierymy za moczka.

SYNEK:

A musi być ta moczka? Mie to niy podłazi.

ŁOCIEC:

Musi być. Zowdy była, to bydzie. I pokosztować trza wszytkigo w Wilijo.

SYNEK:

Mie to nojbardzij makowki smakujom i ryba, no i kołocz z syrym.

MATKA:

Wszytkigo trza pokosztować.

SYNEK:

Dyć wiym. Dyć wiym.

Robi sie cicho. Łociec siedzi wele byfyja, a Synek pomogo Matce. Matka łobraco sie i włonczo radyjok. Słychać kolynda „Łoj maluśki, maluśki...". Piyrwszy łodzywo sie Synek.

SYNEK:

Łociec, a betlyjka zrobiymy?

ŁOCIEC:

A ta z łońskigo roku niy może być?

SYNEK:

Jo żech jom łopylił.

ŁOCIEC:

Coś ty pedzioł? Matka, trzimej mie, bo jak mu pizna! A welaś żeś za nia wzion?

SYNEK:

Stowa.

MATKA:

Co ty godosz? Stowa za ta kupa drzewa? Jo by za to ani złotka niy dała.

ŁOCIEC:

Jak to ani złotka? Dyć to była piykno betlyjka. Som żech jom strugoł.

MATKA:

Ja, ino ci same pokraki wylazły. Dzieciontko wyglondało jak hazok, taki mioło uszy. A Matka Bosko wyglondała jak Hyjdla łod Gerata, staro ci wylazła i szpetno. Zefel zaś...

ŁOCIEC:

Dej pokoj, Matka. Piykno to była betlyjka.

MATKA:

Dyć łona nic wort nie była.

SYNEK:

Nic wort? Przeca jo jom za stowa upchoł. To co Łociec, zrobiymy nowo betlyjka?

ŁOCIEC:

Zrobiymy. Terozki zrobiymy tako, co bydzie dwie stowy worto.

MATKA:

Wom sie już łobum w tych łepach pokurblowało.

(pokazuje im, że majom ipi)

Kaj sam som bakalije? Chyba w izbie, w wertiku żech je skukała, bo byście mi je wyżarli przed świyntami.

Matka wylazuje z kuchni. Łociec biere kastrol i tyż chce wylyź, ale łobraco sie i po cichu godo do Synka.

ŁOCIEC:

Powiydz mi ino Synek, a coś ty z tom stowom zrobił? Cygarety kupił?

SYNEK:

Łociec, dyć jo niy kurza. Samiście godali, że to łod tego ino łostuda bydzie. I charlanie.

ŁOCIEC:

Niy godej ino, żeś ty taki łusłuchliwy.

SYNEK:

Jo niy kurza!

ŁOCIEC:

To kaj mosz ta stowa? W kiery kapsie?

SYNEK:

Ni mom.

ŁOCIEC:

Jak to ni mosz?

SYNEK:

Prezynt żech matce kupił na Dzieciontko. Łona zawsze wajajom, że i nic piyknego ni kupisz, to jo żech i kupił.

ŁOCIEC:

Przeca łona duś godo, że i nic niy trza, to zawdy i szekulada kupia.

SYNEK:

Baby tak godajom, że nic niy chcom, nic im niy trza, a potym ci cołkie życie wygodajom.

ŁOCIEC:

A skond ty to wiysz?

SYNEK:

Widza. Dyć mom matka i szwestra.

ŁOCIEC:

Ano ja. Ale godej wartko, coś matce kupił, bo zaro tu wlezie.

SYNEK:

Zauszniczki.

ŁOCIEC:

Zauszniczki? Złote?

SYNEK:

Kaj tam złote. Z blachy.

ŁOCIEC:

Za stowa? Czyś ty już cołkim zgupioł?

SYNEK:

Łociec, musicie mie tak za jynzor ciongnoć? Zauszniczki matce żech kupił, szpanga i łopaska szwestrze, może te kudły jakoś pospino i niy bydom i wisieć jak szizdraty. No do wos, Łociec, tyż coś mom.

Łociec klepie Synka po plecach. Potym łociyro pazurom ślypie.
Na to włazi Matka.

MATKA:

A ty co ślimtosz?

ŁOCIEC:

A żech se pazurom do łoka bodnoł.

MATKA:

Ty lepi dej se pozor, bo jo niy byda z tobom lotać po dochtorach przed Wilijom.

Łociec wyłazi z kastrolem z kuchni. Matka ściyro stoł.
Synek łoglondo nylonowe tytki, w kierych som bakalie.

MATKA:

Łotwiyrej, zarozki bydymy sie brać za moczka.

SCYNA TRZECIO

Kuchnia. Garce poschroniane.
Przi stole siedzom Matka, Łociec i Synek. Jedzom wodzionka.

MATKA:

Łona nawet na łobiod niy przilazła. Tera już momy wieczerzo, a jom ni ma. Wszystko mo kaś, nawet Wilijo.

ŁOCIEC:

A bo to młode i gupie.

MATKA *(głoszcze Synka po łepie):*

A tyn tyż młody, a jaki mondry.

ŁOCIEC:

Jedyn bajtel musioł nom sie udać.

Naroz słychać trzaśniyncie drzwiyrzami. Włazi Cera. Ślimto. Siado przi stole. Matka, Łociec i Synek nic niy godajom. Dziwajom sie na Cera.

CERA:

Tyż bych se wodzionki wziyna.

MATKA:

To se sama weź. Jo ci pod pysk niy dom, my sie już doś dzisioj narobili.

Cera wstowo, idzie do pieca. Nalywo se wodzionki i siado nazod.

CERA:

Wszytkoście narychtowali na wilijo?

MATKA:

Ja. Ino jutro trza ryb napiyc i kartofli nawarzić.

CERA:

I moczka żeście uwarzili?

SYNEK:

I makowki zrobili, kapusta, kołocz upiykli...

ŁOCIEC:

Wszytko my narychtowali, jak żeś sie z tym gorolym szlajała.

Cera zaczyno ślimtać na cołki głos.

MATKA:

Czego beczysz, trza było w doma łostać i pomogać. Terozki już niyskorzi, jak wszytko fertig.

CERA:

Jo sie już z nim niy byda szlajać...

ŁOCIEC:

A co? Do rzici ci kopnoł?

MATKA:

Łociec! Dej pokoj...

CERA:

Jo żech go łostawiła...

MATKA:

A czamu? Dyć takoś za nim była, że niby taki szykowny, galantny...

CERA:

Matka, jo mu godała, jak to u nos na wiliji jest. No, że Łociec z Biblii czytajom, potym sie dzielymy łopłatkiym i kosztujymy wszytkigo, potym śpiywomy kolyndy i razym idymy łoboczyć, co nom Dzieciontko przyniosło... Łon sie

nabijoł, że my bajtlik dowomy pod łobrus, a najbardzij z tego, że momy na stole świyczki i krziż. A potym, że idymy na pastyrka. Łon pedzioł, że my som zacofani.

ŁOCIEC *(wstowo i chce wyciongać posek z galot):*

Som jest zacofany, niych jo go ino spotkom!

MATKA:

Dej Łociec pokoj. Jego już Pan Boczek pokaroł. Łon niy zno, jak to mo być na wiliji.

ŁOCIEC *(siado):*

Ano ja. Mosz recht Matka...

Cicho. Ino słychać jak Cera ślimto. Matka dowo i taszyntuch, a łona smarko. Naroz wstowo i idzie do Łojca. Łobejmuje go za kark.

CERA:

Łociec, zaśpiywomy naszo śpiywka?

SYNEK *(tyż idzie do Łojca i go łobejmuje):*

Ja, Łociec, zaśpiywomy jak kożdego roku?

MATKA, ŁOCIEC, CERA, SYNEK *(śpiywajom):*

Kopie myszka w popiele, w popiele, w popiele,
Kto sie piyrwszy łośmieje, łośmieje, łośmieje?
Czyli ty, czyli jo, jutro bydzie wilijo.
Czyli ty, czyli jo, jutro bydzie wilijo.

ZBYTE, abo jak fto woli FERTIG

1865

KATOWICE
dla odmiany

150 lat

2015

Instytucja Kultury
KATOWICE
Miasto Ogrodów

www.miasto-ogrodow.eu

www.katowice.eu

WYDAWCY:

IMAGO Public Relations

Instytucja Kultury
Katowice – Miasto Ogrodów

Partner konkursu

Patronat medialny

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

ISBN 978-83-63304-92-8